



GEORGES SIMENON

# ROZTERKA KOMISARZA MAIGRET

CZYTELNIK

**GEORGES SIMENON**

**ROZTERKA**

**KOMISARZA**

# MAIGRET

## Przełożyła Aruia Getílich

### Rozdział I

— Cześć, Janvier.

— Dzień dobry, szefie.

— Dzień dobry, Lucas. Dzień dobry, Lapointe.

Patrząc na młodego Lapinte’a Maigret nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Nie dlatego, że chłopak wbił się w nowy, świetnie skrojony garnitur z jasnoszarego materiału przetkanego cienką czerwoną nitką. Wszyscy uśmiechali się tego ranka na ulicach, w autobusach i sklepach.

Poprzedniego dnia była pochmurna i wietrzna niedziela, zaciął

zimowy deszcz, a 4 marca niespodziewanie nadeszła wiosna.

Oczywiście słońce nie świeciło mocno, niebo było jeszcze blade, ale w powietrzu i w oczach przechodniów zapanowała wesołość, pewien rodzaj wspólnego udziału w radości życia, przyjemność z odnalezienia mocnego zapachu porannego Paryża.

Maigret przyszedł w marynarce, szedł piechotą dobry kawał drogi.

W biurze od razu uchylił okno. Sekwana również zmieniła barwę, odnowiono barki, silniej wibrowały czerwone pasy na kominach holowników.

Otworzył drzwi do biura inspektorów

— Chodźcie, chłopcy...

Był to tak zwany „mały raport”, w przeciwieństwie do właściwego raportu o godzinie dziewiątej, gdy komisarze wydziałowi zbierali się u dyrektora. Teraz Maigret spotykał się ze swymi najbliższymi współpracownikami.

— Jak tam udał się wczorajszy dzień? — zwrócił się do Janvier.

— Byłem z dziećmi u teściowej w Vaucresson.

Lapointe trzymał się na uboczu, zakłopotany, że przedwcześnie włożył nowy garnitur.

Maigret usiadł za biurkiem, nabił fajkę, zaczął wertować listy.

— Dla ciebie, Lucas... W sprawie Lebourg...

Pozostałe papiery podał Lapointe'owi.

— Zaniesiesz do sądu...

Nie można by jeszcze mówić o liściach, choć nadbrzeżne drzewa dawały już obietnicę nieśmiałej zieleni.

Żadnej poważnej sprawy w toku — z rodzaju tych, które zapełniają korytarze Policji Kryminalnej tłumem dziennikarzy i fotoreporterów, i gdy to otrzymuje się rozkazujące telefony od wysoko postawionych osobistości Nic poza kwestiami bieżącymi. Sprawami w toku...

— Wariat albo wariatka — oświadczył trzymając kopertę, na której niewyrobnym charakterem napisane było jego nazwisko i adres na Quai des Orfèvres.

Koperta biała, w dobrym gatunku. Na znaczku stempel urzędu pocztowego z ulicy de Miromesnil. Gdy wyjął list, pierwszą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy, był papier: gruby i szeleszczący welin o niecodziennym formacie. Górę odcięto, aby nie było widać wygrawerowanego nagłówka — czynność tę wykonano starannie przy pomocy linijki i dobrze naostrzonego noża.

Podobnie jak na kopercie, charakter pisma całego listu był

niewyrobniony i bardzo regularny.

— Może to wcale nic- szalenieć — mruknął.

„Panie Nadkomisarzu,

Nie znam Pana osobiście, lecz mam do Pana zaufanie na podstawie tego, co wiem o pańskich śledztwach i stosunku do przestępców. List ten Pana zaskoczy. Niech go Pan zbyt pochopnie nie wrzuca do kosza.

Nie jest to żart ani wymysł szaleńca.

Wie pan lepiej niż ja\* że rzeczywistość wydaje się czasem nieprawdopodobna. Wkrótce zostanie popełnione morderstwo.

Mordercą może być ktoś, kogo znam, mogę też nim być ja.

Nie piszę do Pana po to, aby nie dopuścić do rozegrania się dramatu.

Jest on w pewnym sensie nieuchronny. Chcę jednak, aby Pan był

uprzedzony, gdy dojdzie do zbrodni.

Jeśli traktuje mnie Pan poważnie, proszę umieścić w drobnych ogłoszeniach w „Figaro” lub w „Monde” następującą notatkę: K. R.

Czekam na następny list.

Nie wiem, czy go napiszę. Jest mi bardzo ciężko. Trudno jest podjąć pewne decyzje.

Może któregoś dnia zobaczymy się w Pana biurze, ale znajdziemy się wtedy po przeciwnych stronach bariery.

Oddany.”

Maigret nie uśmiechał się już. Zmarszczył brwi, wzrok jego błędził po liście, potem spojrzął na kolegów.

— Nie, nie sądzę, że jest to szaleniec — powtórzył. — Posłuchajcie.

Przeczytał powoli tekst kładąc nacisk na niektóre słowa. Otrzymywał już tego rodzaju listy, ale najczęściej ich język był

mniej staranny i przeważnie podkreślano niektóre zdania. Wiele pisanych było czerwonym lub zielonym atramentem, często z błędami ortograficznymi.

Tutaj ręka nie drżała. Linie pisma były pewne, bez ozdób, bez skreśleń.

Spojrzął na papier pod światło i przeczytał znak wodny: Welin z Mor van.

Co roku otrzymywał setki anonimowych listów. Z małymi wyjątkami pisane były na zwykłym papierze, który można dostać w każdym sklepiku, czasami też wycinano słowa z gazet.

— Niesprecyzowana groźba — mrukną! — głęboki niepokój.

„Figaro” i „Monde”, dzienniki czytane głównie przez intelektualne koła burżuazji...

Spojrzął znów na całą trójkę.

— Zajmiesz się tym, Lapointe? Przede wszystkim należy skontaktować się z wytwórcą papieru, który musi być w Morvan.

— Tak jest, szefie.

W ten sposób rozpoczęła się sprawa, która wkrótce przyniosła Maigretowi więcej kłopotów niż wiele zbrodni, o których pisywano na pierwszych stronach gazet.

— Dasz ogłoszenie...

— W „Figaro”?

— W obu gazetach.

Zadzwoniono na właściwy raport i Maigret skierował się z dokumentami do biura dyrektora. Tutaj także przez otwarte okno dochodziły odgłosy miasta. Jeden z komisarzy miał w butonierce gałązkę mimozy. Usprawiedliwił się:

— Sprzedają je na ulicach na cele dobroczynne.

Maigret nie mówił o liście. Delektował się fajką. Obserwował

spokojnie twarze kolegów, którzy kolejno przedstawiali drobne sprawy, i obliczał po cichu, ile razy uczestniczył w podobnym obrządku. Tysiące razy.

A jak często zazdrościł swemu ówczesnemu komisarzowi, że może wejść każdego ranka do tego uświęconego miejsca. Wyobrażał sobie, jak wspaniale jest być szefem brygady kryminalnej. Wtedy nie śmiał o tym marzyć, podobnie jak teraz Lapointe, Janvier czy nawet jego poczciwy Lucas.

Chwila ta przyszła jednak i od tego czasu przez tyle lat nie zastanawiał się nad tym, chyba że w taki ranek jak dziś, gdy powietrze miało mocny zapach i gdy człowiek uśmiechał się, zamiast kłać na hałas autobusów.

Wchodząc w pół godziny później do swego biura zdziwił się widząc stojącego przy oknie Lapointe'ego. W modnym garniturze wydawał się szczuplejszy, wyższy i młodszy. Przed dwudziestu laty inspektor nie miałby prawa chodzić ubrany w ten sposób.

— To było nazbyt proste, szefie.

— Odnalazłeś wytwórcę papieru?

— „Geron i syn”. Od trzech czy czterech pokoleń są właścicielami zakładów Morvan w Autun. Nie jest to fabryka, lecz warsztat artystyczny. Papier jest wytwarzany w arkuszach, przeznaczony na wydania luksusowe, głównie poezję, lub na papier listowy. Geronowie mają zaledwie dziesięciu pracowników. Z tego, co mi powiedziano, wynika, że istnieje jeszcze pewna ilość tego rodzaju warsztatów w tamtej okolicy...

— Czy znasz nazwisko ich przedstawiciela w Paryżu?

— Nie mają przedstawiciela... Współpracują bezpośrednio z wydawnictwami artystycznymi oraz z dwoma sklepami papierniczymi. Jeden na Faubourg-Saint-Honoré, drugi przy Avenue de l'Opéra...

— Czy to jest sklep na samym końcu Faubourg-Saint-Honoré, po lewej stronie?

— Chyba tak, sądząc po numerze... Sklep papierniczy Roman.

Maigret znał ten sklep, gdyż często zatrzymywał się przed jego wystawą. Były tam drukowane zaproszenia, bilety wizytowe, widniały rzadko już teraz spotykane nazwiska:

„Hrabia i Hrabina de Vaudry

„Mają zaszczyt...”

„Baronowa de Grand-Lussac

ma zaszczyt zawiadomić...”

Człowiek zastanawia się, czy ci książęta, diukowie, prawdziwi lub nieprawdziwi, jeszcze istnieją. Na wytwornym papierze zapraszają się na obiady, polowania, brydże, zawiadamiają o ślubie córki czy urodzeniu dziecka.

Na drugiej z wystaw można było podziwiać herbowe teki biurowe, oprawione w safian zeszyty na codzienne zapiski.

— Najlepiej będzie, jak tam pójdziesz.

— Do sklepu Roman?

— Mam wrażenie, że to będzie ten sklep...

Sklep przy Avenue de l'Opéra był znany, ale sprzedawano tam również i zwykłe artykuły papiernicze.

— Już lecę, szefie.

Szczęściarz! Maigret spoglądał za nim, jak za czasów szkolnych patrzył na kolegę, którego nauczyciel wysyłał, aby coś 'żalałwił, On sam wykonywał tylko zwykłe obowiązki: papierki, nic tylko papierki, jakiś raport nie budzący większego zainteresowania sędziego śledczego, ponieważ sprawa była zakończona.

Powietrze stopniowo stało się niebieskie od dymu z jego fajki, od Sekwany nadeszła leciutka bry2a, poruszyły się papiery, Już o jedenastej wszedł do biura tryskający energią, pełen życia Lapointe.

— Wciąż idzie zbyt łatwo.

— Co masz na myśli?

— Można by sądzić, że wybrano ten papier rozmyślnie. Nawiasem mówiąc Roman umarł dziesięć lat temu i właścicielką sklepu jest niejaka pani Laubier, wdowa około pięćdziesiątki, która z żalem pozwoliła mi wyjść... Od pięciu lat nie zamawiała tego gatunku papieru z powodu braku popytu... Jest przesadnie drogi, poza tym nie nadaje się do pisma maszynowego... Zostało jej jeszcze trzech klientów. Jeden, hrabia, który posiadał zamek w Normandii i stajnię wyścigową, umarł zeszłego roku. Wdowa po nim mieszka w Cannes i nigdy nie zamawiała papieru listowego... Drugim była ambasada, ale po zmianie ambasadora zaczęto zamawiać inny papier...

— Zostaje jeszcze jeden klient.

— Zostaje jeden klient i dlatego mówię, że jest to zbyt proste. Jest nim pan Emil Parendon, adwokat, mieszka przy Avenue Marigny, używa tego papieru od przeszło piętnastu lat i nie uznaje innego. Zna

pan to nazwisko?

— Pierwszy raz słyszę... Czy zamawiał ostatnio papier?

— Ostatni raz w październiku zeszłego roku.

— Z nagłówkiem?

— Tak. Bardzo dyskretnym. Zawsze tysiąc arkuszy i tysiąc kopert...

M'. podniósł słuchawkę.

\_ poproszą mecenasa Bouvier, seniora.,.

Ad wokat, którego znał przeszło dwadzieścia lat i którego syn był również zarejestrowany w adwokaturze.

— Haio: Czy to pan Bouvier? Mówi Maigret. Nie przeszkadzam?

— Pan? Nigdy.

— Chciałbym prosić pana o pewną informację...

— Poufną oczywiście...

— Sprawa zostanie między nami... Czy zna pan niejakiego Emila Parendona?

Bouvier wyraźnie się zdziwił.

— Czego u diabła policja kryminalna może chcieć od Parendona?

— Nie wiem jeszcze. Pewnie nic.

— Prawdopodobnie... Spotkałem Parendona pięć czy sześć razy w życiu, nie więcej... W sądzie pokazuje się niezmiernie rzadko, i to wyłącznie w sprawach cywilnych.

— Ile ma lat?

— Jest bez wieku. Równie dobrze cz\*erdzie4ei co pięćdziesiąt...

Zwrócił się do sekretarki:

— Proszę mi poszukać w roczniku adwokatury datę urodzenia Parendona... Emil... Zresztą jest tylko jeden...

Potem do Maigreta:



— Musiał pan słyszeć o jego ojcu, chyba jeszcze żyje ai'oo umarł

niedawno... Profesor Parendon, chirurg w klinice Laënnec... Członek Akademii Medycznej i Akademii Nauk Moralnych i Politycznych, itd, itd... Osobistość:... Gdy się zobaczymy, opowiem panu o nim.

Przyjechał tu jsko miody chłopiec ze wsi... Niski i krępy, przypominał młodego byka, zresztą nie tylko wyglądem...

li\*

£

u

?

— A jego syn?

— Jest właściwie prawnikiem, Specjalistą »

nie prawa międzynaro-isv/b go, a w szczegóir.vki prawa morskiego...

Podobno w tym j-ń niepokonany... Przyjeżdżają do niego na konsultacje iudzse ze 'j^ysikich stron świata i często proszą go o arbitraż w dclik%taveii sprawach, w których wchodzą w grę wielkie interesy..

— Co to za człowiek?

— Bez wyrazu... Nie jestem pewien, czy pozr^ym go na ulicy...

— Żonaty?

— Dziękuję pani... Otóż i mamy jego wiek.. Czterdzieści sześć lat...

Czy żonaty?... Chciałem już pars\* powiedzieć, że nie pamiętam, ale teraz sobie przypominam.,, Oczywiście, że jest żonaty... I to cholernie dobrze żonaty!... Jego małżonką jest jedna z córek Osssn de Beaulieu... Wie pan... Był jednym z najbardziej okrutnych sędziów w czasie Wyzwolenia... Mianowany następnie prezesem w sądzie kasacyjnym... Po przejściu na emeryturę zamieszkał, zdaje się, w

¿«ym zamku w Wandę!... Bardio bogata rodzina...

— Wie pan coś więcej?

— Co pan chce, żebym ponadto wiedział?. Nie miałem okazji nikogo z nich bronić w sądzie karnym

czy w sądzie przysięgłych...

— Czy prowadzą życie towarzyskie?

— Parendonowie? W każdym razie nie w tych środowiskach, gdzie ja się obracam

— Serdecznie panu dziękuję...

— W razie czego oczekuję rewanżu...

Maigret przeczytał znów list, który La pointę położył

mu na biurku. Przeczytał go drugi, trzeci raz i z każdą chwilą jego twarz pochmurniała.

— Czy rozumiecie, co to wszystko znaczy?

— Tak, szefie. Diabelskie kłopoty. Przepraszam za mocne słowo, ale...

— Prawdopodobnie zbyt słabo to określiłeś. Znany chirurg, prezes, specjalista od prawa morskiego, który mieszka przy Avenue Marigny i używa najkosztowniejszego papieru listowego: takich klientów Maigret obawiał się najbardziej. Już miał wrażenie, że stąpa po kruchym lodzie.

— Czy sądzi pan, że to on napisał ten...

— On lub ktoś z jego otoczenia, w każdym razie ktoś,

’ kto ma dostęp do jego papieru listowego...

— Dziwna sprawa, prawda?

Maigret nie odpowiedział, wyglądał przez okno. Ludzie piszący anonimy nie używają zazwyczaj własnego papieru listowego, tym bardziej jeśli jest on tak rzadkiego gatunku.

— Nie ma rady. Muszę się z nim zobaczyć.

Poszukał numeru w książce telefonicznej, połączył się

bezpośrednio. Usłyszał kobiecy głos:

— Sekretarka mecenasa Parendona...

— Dzień dobry pani. Mówi komisarz Maigret z Policji Kryminalnej... Czy mecenas Parendon jest zajęty?... Chciałbym zamienić z nim kilka słów...

— Proszę chwilę poczekać, zobaczę...

Wszystko przebiegało niezwykle prosto. Prawie natychmiast odezwał

się męski głos:

— Tu Parendon...

W jego tonie było jakby pytanie.

— Chciałbym pana zapytać, panie mecenasie...

— Kto mówi? Sekretarka nie dosłyszała pańskiego nazwiska...

— Komisarz Maigret...

— Teraz pojmuję jej zdziwienie... Dobrze zrozumiała, ale nie mogła sobie wyobrazić, że to naprawdę pan... Bardzo mi miło usłyszeć pana głos... Często o panu myślałem... Wahałem się nawet, czy do pana nie napisać prosząc o opinię w pewnych sprawach... Nie śmiałem jednak, wiedząc, jak pan jest zajęty...

Miał głos człowieka nieśmiałego, lecz Maigret był jeszcze bardziej zakłopotany od niego. Poczul się śmieszny ze swoim bezsensownym listem.

— Właściwie to ja pana niepokoję i, nawiasem mówiąc, w sprawie bez znaczenia... Wolałbym z panem porozmawiać osobiście, chciałbym pokazać panu pewien dokument...

— Kiedy panu wygodnie?

— Czy ma pan chwilę wolnego czasu dziś po południu?

— O wpół do czwartej odpowiadałoby panu?... Przyznam się, że przyzwyczajony jestem do krótkiej sjęsty i źle się bez niej czuję...

— Świetnie. Będę u pan o wpół do czwartej... I dziękuję za uprzejmą współpracę...

— Będę zaszczycony pańską wizytą...

Gdy odłożył słuchawkę, spojrział na Lapointe'a jakby zbudzony ze snu.

— Był zdziwiony?

— Ani trochę... Nie zadawał pytań... Jest, zdaje się, bardzo szczęśliwy, że może mnie poznać... Ciekawi mnie tylko jeden szczegół... Twierdzi, że parę razy, o mały włos, do mnie nie napisał, by zasięgnąć mojej opinii.- Nie występuje w sprawach karnych, lecz w cywilnych.

-\s'

j.- r.t kodek» prawil mor#;klego, o kto

;

W jakiej więc 'prawie r«', fłby Z;-!Męg/>ć mojej opinii?...

pozwolił Ur(\*o dnia na małe kłamstwo,

Zfi\*-U:fohov/rjl do żony i powiedział, że co'> go zatrzymało w pf y, Mi/)} ochotę uczcić wiosenne «łonce obiadem •v knajpie Dauphirie.

zafundował ;.obie nawet przy barze ^zklanę pustiu.

Diabekkie kłopoty, jak mówił Lapointe, w każdym razie zarzynały w przyjemny sposób.

Maigret pojechał Autobusem do ronda. Na stumetrowym odcinku Avenue Marigny, który następnie przeszedł piechotą, spotkał co najmniej trzy znajome twarze, Zapomniał, te szedł wzdłuż ogrodu Pałacu Elizejskiego i że dzielni'a ta dzień i noc hyła dobrze ob?;tawtona. Kilku aniołów stróżów również go poznało. X

respektem, lecz dyskretnie oddawali rnu honory.

Kamienica, w której mieszkał Parendon, była okazała i solidna, budowana na przetrwanie\* wieków. Hrama wejściowa obrzeżona była bryzowymi kandelabrami. Spod sklepień wjazdu zauważało '.ię nie Izbę dozorczy, lecz, Jak w ministerstwie\*, praw dziwy salon ze stołem pokrytym zielonym pluszem.

Tutaj także komisarz spotkał znajomą twarz. Był to niejaki ł.arnule czy Larnure. który przez dłuższy czas pracował w komisariacie na ulicy des Sauffisaies.

Miał szary garnitur ze srebrnymi guzikami; zdumiał słę ujrzawszy przed sobą Maigreta,

- Winda lub «chody [to leweJ \*f jv«- t'\* Pi-\*':ze piętro,, V/ głębi znajdowało '.i\*'; podwórze. wid.!:6 było samochody, garaż«, niskie budynki niegdyś chyba stajnie.

W/chodząc na inarmorov/e «chody Maigrot bezwiedni« opróżnił fajkę uderzając nią o obca\*..

Gdy zadzwonił do jedyny'!) drzwi, 'jiy/orrył mu lokaj w białej liberii; wyglądało Jakby f.\. \*/:'j'b.

Do mecenasa Par'-ndon... M^rn omówione «potkanie ..

- Tędy, panie knmr-rzu .

B> z pytania wziął od ni^go kapelusz > wprowadził do biblioteki, jakiej

nigdy dotąd ' >ie widział. Po

dłużne pomieszczenie, którego ściany, z wyjątkiem marmurowego kominka z popiersiom mężc-zynny w nieokreślonym wieku, pokrywały od dołu do góry książki, odznaczało aą bardzo wysokim

«sufitem. Wszystkie dzieła były oprawione, większość na czerwono.

Umeblowanie ograniczało się do długiego stołu, dwóch krzeseł i fotela.

Chętnie przyjrzałyby się tytułom tomów, ale już zbliżała się do niego młoda sekretarka w okularach.

— Zechce pan pójść ze mną, panie nadkomisarzu: Przez przeszło trzymetrowej wysokości okna wdzierały wszędzie promienie słoneczne - kładąc się na dywanach, meblach i obrazach- Już w korytarzu zauważył stare konsole, stylowe meble, popiersia, obrazy przedstawiające mężczyzn w »trójach ze wszystkich epok.

Dziewczyna otworzyła drzwi z jasnego dębu i wędzący za biurkiem mężczyzna podniósł się, by wyjść na spotkanie gościa. Jego okulary miały bardzo grube szkła,

— Dziękuję pani, panno Vague.

Miał przed sobą oaly pokój równie wielki, jak salon recepcyjny, i tutaj ściany były pokryte książkami, wisiały

portrety, a padające słońce dzieliło całość na figury geometryczne.

— Gdyby pan wiedział, jak jestem szczęśliwy widząc pana, panie Maigret...

Wyciągnął drobną, białą rękę, jakby bez kości. W kontraście z otoczeniem mężczyzna wydawał się jeszcze niższy, niż był w istocie, mały, kruchy i zadziwiająco lekki, ■ A jednak nie był chudy, kontury miał raczej krągłe, lecz całość była jakby bez wagi i zawartości.

— Proszę bardzo, tędy... Gdzie wolałby pan usiąść? Wskazał fotel z płowej skóry koło biurka.

— Tu będzie chyba panu najwygodniej... Niezbyt do- i brze słyszę...

Stary Bouvier miał rację mówiąc, że Parendon jest bez wieku. W

tworzy, w swych niebieskich oczach zachował i prawie dziecienny wyraz, przyglądał się komisarzowi z ro- | dzajem oczarowania.

— Nie może pan sobie wyobrazić, ile razy myślałem o panu... Gdy prowadzi pan jakieś śledztwo, pochłaniam artykuły w kilku gazetach, aby niczego nie stracić... Mógłbym powiedzieć, że śledzę wszystkie pańskie poczynania...

Maigret poczuł się zażenowany. Przyzwyczał się już i do ogólnego zainteresowania swoją osobą, ale entuzjizm takiego człowieka, jak Parendon, stawiał go w kłopotliwej sytuacji.

— Wszyscy na moim miejscu postępowaliby podobnie...

— Wszyscy, może... Ale „wszyscy” nie istnieją... To jest mit... Nie jest zaś mitem kodeks karny, sędziowie, przysięgli... A przysięgli, którzy poprzedniego dnia byli „wszystkimi”, gdy wejdą na

salę sądową, stają się innymi osobami...

W swoim ciemnoszarym ubraniu jęczał przy biurku o wiele dla siebie za duży. A jednak nie był śmieszny. Może to wcale nie naiwność błyszczała w źrenicach skrytych za grubymi szklami okularów.

Był dzieckiem, w szkole, pewnie cierpiął, gdy przezywano go kurdupłem, pogodził się z tym i teraz robił wrażenie dobrodusznego gнома, który musi powstrzymać swą żywotność.

— Czy mogę zadać panu niedyskretne pytanie?... Kiedy nauczył się pan rozumieć ludzi?... Myślę o tych, których nazywa się przestępcami?

Maigret zaczerwienił się i wymamrotał:

— Nie wiem... Nie jestem pewien, czy ich rozumiem..

— O tak! I oni czują to dobrze... To, w pewnej mierze, przyczyna ulgi, której doznają przechodząc do wyznań...

— Tak samo to wygląda z moimi kolegami...

— Dowiodłbym czegoś wręcz przeciwnego przypominając panu pewne przypadki, ale znudziłoby to pana— Studiował pan medycynę, prawda?

— Tylko dwa lata...

— Czytałem, że po śmierci ojca nie mogąc kontynuować studiów wstąpił pan do policji...

Sytuacja Maigreta stawała się coraz bardziej kłopotliwa, prawie śmieszna. Przyszedł tu, by zadawać pytania, a tymczasem to jego pytano.

— Dostrzegam w tej zmianie nie podwójne powołanie, lecz inną realizację tej samej osobowości... Przepraszam pana... Dosłownie rzuciłem się na pana, odkąd pan wszedł... Nie mogłem się doczekać pańskiego przybycia... Otworzyłem panu drzwi, gdy pan zadzwonił, ale nie spodobałoby się to mojej żonie, gdyż zależy jej na zachowaniu pewnych konwenansów...

Wymawiając ostatnie słowa zniżył głos o kilka tonów i wskazał na olbrzymi obraz przedstawiający sędziego odzianego w gronostaje niemal od stóp do głów. Szepnął:

— Mój teść...

— Prezes Gassin de Beaulieu...

— Zna go pan?

Parendon od kilku chwil tak bardzo przypominał małego chłopca, że Maigret wolał wyznać:

— Zebrałem informacje przed przybyciem...

— Powiedziano coś złego?

— Wygląda na to, że był wielkim sędzią...

— Otóż to! Wielki sędzia!... Czy zna pan dzieła Henri Ey?..,

— Przerzuciłem jego podręcznik psychiatrii.

— Sengès?... Lévy-Valensi?-. Maxwell?...

Wskazał z daleka na regał z książkami, na których widniały te nazwiska. Wszyscy byli psychiatrami, ale nigdy nie zajmowali się prawem morskim. Kątem oka Maigret rozpoznał inne nazwiska —

niektóre spotykał w biuletynach Międzynarodowego Towarzystwa Kryminologii, dzieła innych rzeczywiście czytał — Lagacha, Ruysseña, Genil-Perrina...

— Pan nie pali? — spytał go nagle ze zdziwieniem gospodarz —

sądziłem, że nie wyjmuje pan fajki z ust.

— Zapalę, jeśli można...

— Czym mogę pana uraczyć? Mój koniak nie jest najlepszy, ale mam czterdziestoletni armaniak...

Podreptał w stronę ściany, gdzie na Jednym regale między rzędami książek ukryty był barek zawierający około dwudziestu butelek i kieliszki o różnych kształtach.

— Tylko troszeczkę...

— Przy wielkich okazjach żona pozwalała mi zaledwie skosztować.

Uważa, że mam słabą wątrobę... Jej zdaniem wszystko we mnie jest kruche, nie mam w moim organizmie nic solidnego...

Bawiło go to. Mówił bez goryczy.

— Pańskie zdrowie! Zadawałem panu te niedyskretne pytania, ponieważ pasjonuję się artykułem 64 kodeksu karnego, który zna pan lepiej ode mnie.

Rzeczywiście, Maigret znał ten artykuł na pamięć. Dość często w kółko go sobie powtarzał:

„Nie uważa się czynu za zbrodnię ani przestępstwo, jeśli obwiniony był w stanie niepoczytalności w czasie popełniania go lub jeśli został

zmuszony do czynu przez siłę, której nie mógł się oprzeć.”

— Jakie jest pana zdanie na ten temat? — spytał mały człowieczek pochylając się w jego stronę.

— Cieszę się, że nie jestem sędzią... W ten sposób nie ja...

rozstrzygam.

— To chciałem od pana usłyszeć... Gdy ma pan przed sobą winnego lub podejrzanego, czy jest pan w stanie określić część odpowiedzialności, którą można mu przypisać?

— Rzadko,.. Psychiatrzy z kolei...

— Ta biblioteka jest pełna psychiatrów... Dawniej w większości mówili: „odpowiedzialny” i odchodzili z czystym sumieniem.. Ale niech pan, na przykład, przeczyta ponownie Henri Ey...

— Wiem...

— Zna pan angielski?

— Bardzo słabo.

— Ale wie pan oczywiście, co to jest hobby?

— Tak... Konik... Działalność bezinteresowna... Pasja...

nik, Jł-śli j»;in woli, to artykuł fH Ni»' j«-Mt»TM w t.ym o:«i~

molniony, iińw al.iwrłny artykuł ni»- znajduj«? HU; wy- hjf/.nif\* w koff«'k:si»' fvam'uriklm. W tym wirnyiri hl»Mrml »formułowaniu ndn/ij»Jzi«\* fj° p-iri w Sl.anwh /^•diMJfzo nyc.b, Anglii, Nbirirz«'tb, w«l Wlowzwli...

Ożywił ni»;. ,f»j'o t W • 111 z, »hwil»; prz<-dl»'rn rnrz»-j Mada, Y.uc:/j.'jwi'-niłiJ (.i); i z w;\*rr.'i < ihti' .iij wymachiwał

drobnymi, pul» hoy mi nóżkami,

- .l»t.l nar; na .iwiwod»' lyMfjw, c.u mówi«;, dzirałnlki ty- xit;cy łych, kUn'/,y majM za '/.tulunio zmienić i<\*n poniża- J/joy «rlykuł

iM, r<\*iil<t miniony<-h c/awW, Ni«l HhmlZl o tajni\* 'iloWiJizy?iZrna\ W wh.-kazoi».:) krajów iNl.nirJij oficjaln»- ugrupowania. prz»-tfljj»ly, w»z«Hy.., Wił\* pan, <:n ?;>\*; nam orJpnwiml.'j?

/ /ihy uwoblć to ,r/u» ił okiom im portret t»\*;;cía.

Mówi HU; nam:

„Kod«-kw karny j»\*;íl »'alońn.'}. ./•/'jli pwauni»\* hu; Jwjcn lcami«ń, fiiUrnu budynkowi b<;«lzio p.nj/ić ruina..."



- Zarzucca jA§} nam

„ÍJopiuwtidzJchí »l»> b'/jn, /«\* l'-knrzowi, a oh\* «;d/,l<\*mu pozwoli

«í»); Jerowa/; wyroki..."

Móglbym panu mówić o tyrn j'odzinami. NaplaaJi'm wi»-l'«\*

artykułów

ł

na t»n toryat í ni«?<-ij mi to b<»izli po- czytano Y.n zarozumiałość, id\*\* pozwoU; noIjío wyplác Ju pa- hu \H7A;Y, m-kvfintfa;..., iJim /na prz»-MÍ,<p(;ów( ź<- líik po- wkm, z i'i;kj, Ola

Mí;dzjów to ludzi»-, któryrh

pniWM- aulnmaty«y,ni»\* iimb-wza w»»; w t»-j ezy Innoj rí/u •

íl/id/Jír... Ko/.umi\*- pan?

' • Tltk :

• - Ktíffki»): zdrowi<?',

Uspokajał /¿ii;, Jakby zaskoczony, ź«> tak w«- zapalił.

Ni«'Wí< lu J»-. '¿l lodzl, /. kWirynt rnow; poio/.mawiać oí wíuí I»'

.. /«tiHZíikowid» JO JJÍIIIJIV

Ari) ti'íídií;,

ni»- f.pyl.ik-m pnna, dl)ir /r \*|ir'j; j u;t; ptin /i- mnf| zobarzyć,, Ityfr-rn ł.uk uradowuny tf| okazjM, 'r', 'pylani»- lo ni»- ia) do /»Iowy, I dod; d /■ \*ro-mmj Mam natizirjr;, h- ni»- 'líívlzi o |>r;iw»»> inor/ikí\*-?

M.-d|r\* t. wy<-l»iMnJ| z kí»-f,z»-ni líi; (, líino porzl/j fJor»;<'zyl;j mi t\*\*n íloka»»fí»-nt. Nlf j»\*Nl

/odpi?./,iny, Ni»- ra.oii ź»dm-J p'-wn»Vi, f/x- pochotl/J filijd...

J'rowzí,- lylko, z»-by z»-»h»i;\*l n} <; w t\WV,ú w/'b;bi/.? .., Itzi-cz dziwiin

hy był wm/liwy

w«zy/4klm

na dotyk, adwokaf ' /AK"/.t\ nújplrt'w niar;i/\* papk-r.

Wy^lijdii n; i łnój... NM-IHIWO ^,O zrial\* ż<'... Ojłtnlniai razrni mu'.iab-rn wylwór<'y dnfilfm/zyć  
wz>'>r pr/»•/, ryUiwniku...

- Wla<mic lo toni>- do piifui KpifjWod/,ilo, P.irí-niíin zmienił okulary, »ikrzy/owid ki«'ilkí>- rto^i  
I rzybd pot uf;/aj/|<' war^arnl, i/jíiínrot VÁf «z.'iwni rjirktónr «y laby:

... Wkróte\*.' zo^laol>' popcinioii>' rnordł.TMlwo,, Mortlr-r-cíj m'»>,i' Ityó ktnfi, ko/.jo znain,  
mof«,' leí nim by/: Jji,,."

'T'»- zdani;<< przy'i^ytíd Jrnw/r ruz,

-

Moźni powir-dzii'^, ź>' kfjźdf bl>)Wo zofilulo wybr>in>»í r>)znjy:'iłni>' nU-praWdaż?

- Odulowlí'in lo MÍIMIÍJ wr

J>' .t ono w p>'wnynt M-mií\* nicurliranrif',,/'

'!>j /dani>' rnií'J mi nU; pOfk\*ba, Jí-'H w ním vm prz<-

<<iirlíií\*f>o,,.

i'ot>\*m oddal IN i 7.inl>'iiaJ(jc znów okulary Homa-il: Inl>T<t«ujíjc>',..

Ni\*\*

di> ludzi, którzy używaj/j wielkich «łów: rnówuj z emlaz^ . ».ir>li-r\* , 'iiiJ\*\*''\*J>< te(>o of?  
anirzył r<ię J« i'o koiunlnrz.

Ilderzyj runie jeden H^/AW\1/A wy jagnił •

autor li?;tu ni>\* zwnicii do rmi'\* per „Panie Komisarzu", ale używa nrn f'o urzędow\*-tfo tytułu  
„Nadkomisarz/' ,. Myółał>-m o tym, Czy dał pan oj\*łouzonie?

Ukaże HU; dziś wkezőr w „Monde", a jutro rano w „FH'aro", Najbardziej zwitanawia j^re było to, że  
Parendon nł\*\* był

zaskoezony, u w każdym rny.it: nie pokazywał tej>o po «obie, Patrzył

w okno na /.'ękały pień kanzlana, gdy cui^lo jaki/, M.rw-r przydqp.m.jł je^o uwai>ę. I toż bez  
zdziwienia, odwraej/ji; tflówę, mruknął:

W^jdź, kochanie...

Podniósł «jç;.

Przedstawiam ci komUmr/M Maigrct, we wlaawj Ofiabile...

CzterdzieMoJi/tnia, bardzo żyw«, 'de^ancka kobieta, o wyjątkowo ruchliwych oczach potrzebowała zaledwie\* kilku wkund, aby zlustrować komisarza od stóp do głów. Jeśliby robił rnah| płamę z błoto na lewym bucu\*, zauważyłoby z pewnością.

Łardzo roi miło, pank\* komisarzu... Mam nadzieję, że nie przyuzofii pan zaaresztować rwflo rnežit?... Z j"go kiepskim zdrowiem musiałby go pan u»nioAcił w więziennym szpitalu.., W jej tonie ni'\* było cienia złościwoAci, powiedziała to z najw»'wlsjsym uśmieehern.

—• Chodzi x pewnością o kogo« ze /-służby?

- N i fi otrzymałem na nikogo żydnij skarfti, a zrc»zUł byłaby to sprawa komiKadatu dzielnicowego...

Wyraźnie paliła i-l'fkawo^, /•■by <lowU'Jzkć «i\*;, dla- czej>o lu przynz'dł. Jej foty'/, czuł lo K/wni'- dobz<r Jak Mai^rot, a l>', j^kby na przekór, ż'Jd^\*fi z nl'h ;<!<• /robił najmniejszej aluzji.

(o pan powie o n,'ł;,v.yrn arrnani;>k«j?

Z.\*«uważyła kieliszki.

Ma rn nadzieję, kochanie, ż<\* wypić tylko kropelkę..

Ubrana była Już w jaany wiowenny kostium, No tak., ZoM.awiam panów 7. waszymi ijprawami,, Chciałam cję uprzedzić, kochanie, że r»W- wróć przód ó\*>mq... Od aiódmej mt/zPHZ zuutać rnię u Hortensji,,

Nie wywzła od razu. Znalazła sposób, by, podcza\* gdy mężczyźni stoli w milczeniu, obejść auły pokój przosuwa- Jqę popielniczki; na Ktoliku, po[jrawiaj;|r- jykąś k.niążkf; na półce.

-- IM widzenia, pr<ni<? Mniu/et.. Byto mi naprawd\*; bardzo miło pana poznać.., Jvnt pan niezwykle Intornuj- jār-yrn cy.hiwicklrtn., Urzwi wir» zamknęły. Parr-ndon usiarł z powrotem. Czekał jlrKzozo krótką r.-hwil«:, jakby drzwi znów miały KU\* otwoizyc. W końcu zaśmiał hU; dzi^-inni'\*

• • Słyszał pan?

Mal^n-t nic wiedział, co ma odpowi<rlziff.

•— „fer;t pan niezwykle interesującym cz)nwi''ki<.'m,^.. J<-«t wsei^kła, 7M nic jej pan nie powiedział... Nitylko, że ni«i wie, co pan tu robi, ale nadto ni\* powiHział jej pan nie o 5,ukni, a przede wszystkim, jak młodo wygląda... Wajwi<;k,4z;j radość Hprawłłjy jej pan biorąc za moją córkę...

— Ma pan córkę?

— Tak. rna osiemnaście lal. Zdała maturę i studiuj«\* archeologię...

Zobaczmy, jak długo to potrwa... Żutego roku chciała zostać laborantką... Nic widuje-; jej często,

czasem przy posiłkach, gdy zechce jeść razem z nami... Mam również piętnastoletniego syna Jakuba, chodzi do czwartej klasy liceum Rneinu'a... Tyle o rodzinie.

Mówił lekko, jakby słowa jego nie miały znaczenia albo jakby kpił ?.

samego siebie.

Ale traci pan przeze mnie czas, gdy powinniśmy zająć się listem...

Proszę, oto arkusz mojego papieru listowego... Pańscy eksperci stwierdzą, czy to ten sam papier, ale z góry jestem pewien wyniku...

Nacisnął guzik, czekał odwrócony twarzą do drzwi.

— Panno Vague, czy byłaby pani uprzejma przynieść mi jedną z kopert, których używamy dla dostawców?

— Płacimy dostawcom czekami pod koniec miesiąca —

wytłumaczył — byłoby rzeczą pretensjonalną używać kopert grawerowanych na regulowanie rachunków,.. Mamy więc w tym celu zwykłe, białe koperty...

Dziewczyna przyniosła jedną taką kopertę.

To też może pan porównać. Jeśli koperta i papier zgadzają się, może być pan prawie pewny, że list pochodzi stąd...

Nie wydawało się, żeby ton fakt go specjalnie niepokoił.

— Czy, pana zdaniem, ktoś mógł mieć powody do napisania tego listu?

Spojrzał na Maigreta najpierw ze zdziwieniem, potem z pewnym rozczarowaniem.

— Powody ... Nie spodziewałem się tego słowa, panie Maigret.

Rozumiem, że musiał pan postawić takie pytanie... Ale po eo powody?... Każdy, świadomie lub nie, z pewnością jakieś ma...

— Czy dużo osób tu bywa?

— Stałych mieszkańców jest stosunkowo niewiele... Żona i ja, rozumie się...

— Czy mają państwo osobne sypialnie?

Rzucił żywe spojrzenie, jakby Muigret zdobył jeden punkt.

— Jak pan to odgadł?

— Nie wiem... Zadałem pytanie bez zastanowienia...

— Istotnie, mamy oddzielne sypialnie... Żona lubi późno chodzić spać i wylegiwać się rano w łóżku, a ja jestem ranny ptaszek... Może pan zresztą przejść się swobodnie po wszystkich pokojach... Wolę panu powiedzieć zaraz, że nie ja wybierałem to mieszkanie i niczego tu nie urządzałem...

Gdy mój teść (rzucił okiem na portret Prezesa) przeszedł na emeryturę i zamieszkał w Wandei, zwołano naradę rodzinną... Jest ich cztery siostry, wszystkie zamężne... Rozdzielono w jakiś sposób majątek, zanim teść sporządził testament, a moja żona otrzymała to mieszkanie z całym umeblowaniem oraz portretem i popiersiami...

Nie śmiał się ani nie uśmiechał. To było bardziej subtelne.

— Jedna z sióstr odziedziczyła majątek ziemski w Wandei, w lasach de Vouvant, a dwie inne podzieliły się papierami wartościowymi...

Rodzina de Beaulieu posiada starą fortunę, tak że starczy dla wszystkich... Nie mieszkam więc całkiem u siebie, lecz u teścia, i do mnie należą tylko książki, meble w moim pokoju i to biurko...

— O ile wiem, pański ojciec żyje?

— Urządził sobie na stare lata mieszkanie na ulicy de Miromesnil, niemal naprzeciwko. Od trzydziestu lat jest wdowcem. Był

chirurgiem...

— Słynnym chirurgiem...

r

Tak... To wie pan również... Wie pan więc także, że jego namiętnością nie był artykuł 64, lecz kobiety... Mieliśmy równie duże mieszkanie jak to, ale o wiele bardziej nowoczesne, na ulicy d'Aguesseau... Mój brat, neurolog, mieszka tam z żoną...

Olo moja rodzina... Mówiłem już panu o mojej córce Paulinie i synu Jakubie... Lepiej, żeby pan wiedział, jeśli chce pan «podość się córce, że wybrała dla siebie imię Bnrnbi i uparcie mówi do brata Cus... Przypuszczam, że to im przejdzie... Jeśli nie, mój Boże, to nie takie ważne...

Teraz w stronę służby, Jak powiedziałyby żona... Widział pan lokaja Ferdynanda... Nazywa się Fauchois... Pochodzi z Berry, podobnie jak moja rodzina..., Kawaler... Jego pokój jest w głębi podwórza, nad garażami... Liza, pokojówka, mieszka tutaj, a niejaka pani Marchand przychodzi codziennie sprzątać... Zapomniałem o pani Vauquin, kucharce... Jej mąż jest cukiernikiem... Życzy sobie, aby wracała wieczorem do domu... Nie notuje pan?

Maigret uśmiechnął się w odpowiedzi, po czym wstał

i wytrząsnął fajkę do dużej popielniczki.

— Teraz, że tak powiem, moja strona... Widział pan pannę Vague.

To jej prawdziwe nazwisko i wcale nie uważa, że jest śmieszne...\*

Zawsze zwracałem się do moich sekretarek po nazwisku... Nigdy nie opowiada

o swym życiu osobistym i gdybym chciał dowiedzieć się, gdzie mieszka, musiałbym poszukać w aktach Jej adresu... Wiem tylko, że wraca metrem do domu i zawsze mogę Ją zatrzymać wieczorem po godzinach pracy... Ma ze dwadzieścia cztery, pięć lat... Rzadko jest w złym humorze.«

Moim pomocnikiem jest pełen ambicji młody aplikant, Renó Tortu..., Jego gubtnel jost w głębi korytarza.

Został jeszcze chłopak, którego nazywamy skrybą, ma około 20 lat i świeżo przyjechał ze Szwajcarii.. Zdaje się, że marzy mu się kariera dramaturga... Używamy go do wszystkiego, Jest naszym chłopcem na posyłki...

Gdy klient powierzy mi jakąś sprawę, a jest to przeważnie wielka sprawa, gdzie w grę wchodzi miliony, o ile nie setki milionów, potrafił\* przez tydzień lub kilka pracować dniem i nocą... Potem wszystko wraca do normy

I mam czas...

Zaczerwienił się i uśmiechnął.

— ...Żeby zająć się naszym artykułem 64. panie komisarzu...

Chciałbym, żeby pan wypowiedział się kiedyś na ten temat... Wydam teraz wszystkim polecenie, aby mógł pan poruszać się swobodnie po całym mieszkaniu i aby zupełnie szczerze odpowiadano na pańskie pytania...

Maigret spoglądał na niego zakłopotany, zastanawiając się, czy stoi przed nim sprytny aktor, czy przeciwnie, biedny, wąty człowieczek pocieszający się subtelnym humorem.

— Przyjdę tu zapewne jutro przed południem, ale nie będę panu przeszkadzał.

— W takim razie pewno ja panu przeszkodzę.

Gdy podawali sobie ręce, Maigret miał wrażenie, że uściśnął rękę dziecka.

— Dziękuję za miłe przyjęcie, panie mecenasie.

Dziękuję za wizytę, panie komisarzu.

Adwokat drepcząc odprowadził go aż do windy.

Rozdział II

Na dworze słońce, zapach pierwszych ładnych dni wraz z lekką wonią kurzu, ludzie ze straży Pałacu Elizejskiego, którzy z nonszalacką miną przechadzali się tam i z powrotem i na znak rozpoznania kierowali w jego stronę dyskretny gest.

Stara kobieta na rondzie sprzedawała bez, pachnący podmiejskimi ogrodami, i Maigret z trudem powstrzymywał się od kupienia bukietu.

Jak by wyglądał na Quai des Orfèvres z pękiem kwiatów?

Odczuwał dziwną lekkość. Wychodził z nieznanego świata, gdzie, jak się okazało, był mniej zagubiony, niż mógł się tego spodziewać.

Idąc chodnikiem w tłumie przechodniów wracał myślą do pompatycznego mieszkania, w którym odnajdywało się cień wielkiego sędziego, niegdyś wydającego tam oficjalne przyjęcia.

Na wstępie spotkania, Parendon, aby go ośmielić, mrugnął

porozumiewawczo, jakby chciał powiedzieć:

— Niech pan się nie da nabrać. Wszystko tu jest dekoracją. Nawet prawo morskie jest grą, kostiumem...

I wyciągnął, jak zabawkę, swój artykuł 64, interesujący go bardziej niż wszystko inne.

A może Parendon był przebiegły? W każdym razie ten podskakujący człowieczek, który pochłaniał go wzrokiem, jakby nigdy nie widział komisarza policji kryminalnej, wyraźnie wzbudzał

zainteresowanie Maigreta.

Było tak ładnie, że poszedł spacerem Polami Elizejskimi, aż do placu Zgody, gdzie wreszcie wsiadł w autobus. Nie trafił na autobus z odkrytym pomostem, musiał więc zgasić fajkę i usiadł w środku.

W Policji Kryminalnej była to pora podpisywania papierów. Maigret w dwadzieścia minut uporał się z listami. Żona spojrzała na niego ze zdumieniem, gdy wrócił koło szóstej wesóły jak skowronek.

— Co jest na obiad?

— Chciałam zrobić...

— Nic nie zrobisz. Jemy na mieście...

Wszystko jedno gdzie, byle nie w domu. Nie był to zwykły dzień i zależało mu, by pozostał niezwykły aż do końca.

Dnie były coraz dłuższe. W Dzielnicy Łacińskiej znaleźli restaurację z oszklonym tarasem, ogrzewanym przyjemnie grzejnikiem.

Specjalnością były tu frutti di mare

i Maigret zamówił prawie wszystkie gatunki włącznie z jeżowcami, które tego samego dnia przywieziono z Południa samolotem.

Patrzyła na niego uśmiechając się.

— Chyba miałeś udany dzień?

— Poznałem przedziwnego faceta, przedziwny dom, przedziwnych ludzi...

— Morderstwo?

— Nie wiem... Jeszcze nie zostało popełnione, ale z dnia na dzień może to nastąpić... A wtedy znajdę się w cholernej sytuacji...

Rzadko opowiadał jej o bieżących sprawach i zwykle dowiadywała się najwięcej z gazet i radia. Tym razem ni o wytrzymał

i pokazał jej list.

— Przeczytaj...

Jedli deser. Do smażonej barweny pili aromatycznie białe wino i jego zapach unosił się jeszcze wokół nich.

Oddając list pani Maigret spojrzała na męża ze zdumieniem.

— Czy to jakiś urwis? — spytała.

— Jest jeden urwis w tym domu, nie widziałem go jeszcze. Bywają urwisy różnej płci i w różnym wieku.

— Wierzysz w to?

— Ktoś chciał, żebym pokazał się w tym domu. Inaczej nie posłużyłby się papierem listowym, który można dostać tylko w dwóch sklepach Paryża.

— Jeśli ma zamiar popełnić zbrodnię...

— O tym nie mówi. Zawiadamia mnie o zbrodni, jakby nie bardzo wiedział, kto będzie winnym...

Tym razem nie traktowała go poważnie.

— Zobacysz, że to kawał...

Zapłacił rachunek. Na dworze było tak ciepło, że wró\* ciii pieszo, nakładając drogi, aby przejść przez Wyspę Sw. Ludwika.



Tego wieczoru bez był jednak w mieszkaniu — znaleźli go na ulicy Saint-Antoine.

Na drugi dzień rano słońce było równie jasne, powietrze tak samo czyste, ale nikt nie poświęcał już temu takiej uwagi. Podczas „małego raportu” Maigret spotkał Lucasa, Janviera i Lapointe'a. Natychmiast w stosie korespondencji zaczął szukać listu.

Nie był pewien, czy nadszedł, gdyż ogłoszenie w „Monde” ukazało się wczoraj w późnych godzinach popołudniowych i dopiero teraz w

„Figaro”.

— Jest! — krzyknął obracając nim.

Ta sama koperta, ten sam niewyrobyony, staranny charakter pisma i ten sam papier z odciętym nagłówkiem.

Autor nie zwracał się już do niego per „panie Nadkomisarzu” i ton listu uległ zmianie.

„Popełnił pan błąd, panie Maigret, przychodząc przed otrzymaniem drugiego listu, wszyscy teraz są czujni, co grozi przyspieszeniem biegu wydarzeń. Morderstwo może zostać, odtąd, popełnione w każdej chwili i bidzie to częściowo pańską winą.

Wydawało rni się, że jest pan cierpliwszy i rozsądniejszy. Czy naprawdę wyobraża pan sobie, że w ciągu jednego popołudnia potrafi pan zgłębić tajemnice jakiegoś domu?

Jest pan bardziej łatwowierny i chyba bardziej zarozumiały, niż sądziłem. Nie mogę już więcej panu pomóc. Radzę tylko, by prowadził pan dalej śledztwo i nie dawał wiary temu, co byle kto panu powie.

Pozdrawiam pana i mimo wszystko nie tracę podziwu.” Stojąca przed nim trójka widziała jego zakłopotanie; z niechęcią podał im list. Byli Jeszcze bardziej zakłopotani od niego, z powodu lekceważenia, z Jakim anonimowy korespondent traktował ich szefa.

— Nie sądzi pan, że to jakiś urwis się zabawia?

— To samo powiedziała moja żona wczoraj wieczorem.

— A pana zdaniem?..

— Nie,,

Nie, nie wierzył w brzydki kawał. Ale w atmosferze mieszkania na Avenue Marigny nie było nic dramatycznego. Wszystko w tym domu było jasne, uporządkowane. Lokaj przywitał go ze spokojną godnością. Sekretarka o dziwnym nazwisku była żywa i miła. Zaś mecenas Pa-rnuui'!!, pomimo dżwnej powierzchowności, okazał sii; raczej zabawnym {.jospodarzem.

Pan-ndon również nie wierzył, ze lo kawa! Nie był zły, zo Maigret wdarł sio w jego prywatne\* życie.

Mówił wid«.' na róyne leniały, zwłaszcza o artykule (54, alo czy w głębi nie czał si<7 w nim. prze/, cały czas, ni« pokój"

Maigret nic mówił o tym podczas raportu. Zdawał sobie sprawy, że jego koledzy wzruszyliby ramionami widząc, że brnie w tak 2ogadkową aferę.

— Nic nowego u pana, Maigret?

— Janvier jest o krok od aresztowania mordercy kobiety z poczty...

Jesteśmy prawie pewni, ule korzystniej jest zaczekać i dowiedzieć

.się, czy miał współnika... Żyje z młodą kobietą w ciąży...

Sprawy bieżące, banalno, powszednie. W godzinę po- t< m wyszedł z codzienności wchodząc w progi domu na Avenue Marigny, gdzie portier w liberii pozdrowił go przez oszklone drzwi swojej izby.

Lokaj Ferdynand spytał odbierając od niego kapelusz:

— Czy mam zaanonsować pana mecenasowi?

— Nie trzeba. Proszę zaprowadzić mnie do pokoju sekretarki...

Panna Vague! Przypomniał sobie jej nazwisko. Zajmowała mały pokój pełen zielonych segregatorów. Pisała na elektrycznej maszynie najnowszego typu.

— Czy pan do mnie? — zapytała bez zakłopotania.

Wstała, rozejrzała się; dookoła, wskazała krzesło pod wychodzącym na podwórze oknem.

-- Niestety nie mam tu fotela. Może pan woli przejść do biblioteki albo do salonu?...

— Wolę zostać tutaj...

Skądś dochodził odgłos elektrycznego odkurzaczy. W jednym z biur stukotała mnszyoa do pisania. Jakiś mężczyzna, lecz nie Parendon, mówi! przez Me fon: „Ależ Ink, tak... Rozumiem paw»

świetnie, przyjacielu, ale prawo jest prawem, nawet jeśli narusza eznszem reguły zdrowego rozsądku... Mówiłem mu o tym, oczywiście-

cie.., Nie, nie może pana przyjąć ani dziś, ani jutro, a zresztą to do niczego nie prowadzi..."

- Pan Tortu? - \* spytał Muigret.

Skinęła głową potakująco. Był to, rozmawiajmy w tf\*n sposób w

.sąsiednim pokoju, aplikant. Panna Vague zamknęła drzwi ucinając głos, jakby przekręciła gałkę w

radiu, Okno było uchylone, szofer w niebieskim kombinezonie mył pod hydrantem Rolls Royce'a.

Czy to samochód pana Parendon?

Nie, lokatorów z drugiego piętra, Peruwiańczyków.

• ~ Czy pan Parendon ma szofera?

... Jest do tego zmuszony, gdyż wzrok nie pozwala mu prowadzić.

— Jaki ma samochód?

Cadillaca... Częściej używa go pani Parendon, choć ma własne, małe angielskie auto... Nie przeszkadza panu hałas?... Nic wolałby pan, żeby zamknąć okno?

Nie. Szum wody harmonizował z otoczeniem, z wiosną, z tego rodzaju domem.

— Czy wie pani, dlaczego tu jestem?

~ Wiem tylko, że wszyscy mamy być do pana dyspozycji i odpowiadać na każde, nawet niedyskretne pytanie...

Znów wyciągnął z kieszeni pierwszy list. Gdy wróci na Quai, każe zrobić fotokopię, inaczej zostanie mu tylko zmięty zwitek papieru.

Gdy czytała, przyglądał się jej twarzy. Nie szpeciły jej okulary w rogowej oprawie. Nie była ładna w zwykłym znaczeniu tego słowa, ale miała w sobie coś miłego. Zwłaszcza usta przyciągały wzrok

— pełne, śmiejące się, o podniesionych do góry kącikach.

— Tak0... — spytała oddając kartkę.

— Co pani o tym sądzi?

— A pan Parendon?

— Dokładnie to samo.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Był równie mało zdziwiony, jak pani przed chwilą.

Usiłowała się uśmiechnąć, ale wyczuwało się, że słowa osiągnęły cel.

— Powinnam była jakoś zareagować?

— Gdy ktoś zawiadamia o bliskim morderstwie, w jakimś domu...

— To może stać się w każdym domu, prawda? Przypuszczam, że człowiek, zanim stanie się przestępcą, zachowuje się normalnie jak każdy z nas, inaczej...

— Właśnie. Inaczej aresztowalibyśmy zawczasu przyszłych zabójców.

Dziwne, że o tym pomyślała. Maigret w swej długiej karierze spotkał niewielu ludzi, którzy wyraziliby to proste rozumowanie.

— Dałem ogłoszenie, a dziś rano otrzymałem następne ostrzeżenie.

Podał jej list, czytała go równie uważnie, lecz tym razem z pewną obawą.

— Zaczynam rozumieć — szepnęła.

— Co takiego?

— Że jest pan zaniepokojony i że osobiście zajął się pan śledztwem.

— Pani pozwoli, że zapalę?

— Proszę bardzo; w przeciwieństwie do większości innych biur wolno mi tu palić...

W naturalny, nieafektowany sposób zapaliła papierosa, co rzadko zdarza się kobietom. Paliła, aby się odprężyć. Pochyliła się nieco na swoim obrotowym krześle. Biuro to nie było podobne do biura handlowego. Stolik z maszyną do pisania był metalowy, lecz obok stał

piękny stół w stylu Ludwika XIII.

— Czy młody Parendon jest typem żartownisia?

— Gus? Ależ wręcz przeciwnie. Jest inteligentny, ale zamknięty w sobie. W liceum jest zawsze pierwszym uczniem, chociaż wcale się nie uczy.

— Czym się interesuje?

— Muzyką i elektroniką... Założył w swoim pokoju aparaturę dźwiękową o udoskonalonym systemie high fi- delity, prenumeruje mnóstwo przeglądów naukowych... Pan zobaczy, jeden właśnie nadszedł dziś rano... Sama mu je zanoszę do pokoju...

„Elektronika Jutra”.

— Czy często wychodzi z domu?

— Nie ma mnie tu wieczorami, ale nie sędzę.

— Ma przyjaciół?

— Czasem przychodzi do niego jeden kolega, słuchają płyt albo przeprowadzają razem doświadczenia...

— Jakie są jego stosunki z ojcem?

Wyglądała, jakby pytanie ją zaskoczyło. Namyslała się, wreszcie uśmiechnęła się, jakby chciała się wytłumaczyć.

— Nie wiem zupełnie, co panu powiedzieć. Pięć lat pracuję u pana Parendon. To dopiero moje drugie miejsce w Paryżu.

— A pierwsze?

— W firmie handlowej na ulicy Réaumur. Byłam nieszczęśliwa, bo tamta praca mnie nie interesowała.

— Kto panią tutaj polecił?

— René... To znaczy pan Tortu... powiedział mi o tym zajęciu.

— Znacie się dobrze?

— Jadamy wieczorami w tej samej restauracji na ulicy Caulaincourt.

— Pani mieszka na Montmartrze?

— Na placu Constantin-Pecqueur.

— Czy Tortu był pani sympatią?

— Po pierwsze ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, poza tym, nic nas nie łączyło, z jednym wyjątkiem...

— Z jednym wyjątkiem?

— Mam polecenie, żeby być całkowicie szczerą... Pewnego wieczoru, na krótko zanim zaczęłam tu pracować, poszliśmy do kina na plac Clichy po wyjściu od Maurice'a... To ta nasza restauracja na ulicy Caulaincourt...

— P2ni tam stale jada?

— Prawie co wieczór... Stałam się niemal częścią otoczenia...

— A on?

— Rzadziej, odkąd się zaręczył.

— A więc po kinie...

— Zapytał mnie, czy może wstąpić do mnie na jeszcze jeden kieliszek... Piliśmy już przedtem i byłam trochę zalana... Odmówiłam, bo nie znoszę, żeby mężczyzna przychodził do mnie do mieszkania...

To sprawa fizyczna... Wolałam iść do niego na ulicę des Snules,..

— Dlaczego potem się to nie powtórzyło?

— Nie zagrało, czuliśmy to oboje... Słowem, sprawa skóry...

Zostaliśmy dobrymi kolegami...

— Żeni się niebawem?

— Chyba mu się nie spieszy...

— Jego narzeczona jest także sekretarką?

— Jest asystantką doktora Parendon, brata mego szefa...

Maigret palił małymi pociągnięciami fajkę usiłując nasiąknąć tym wszystkim, co, wczoraj jeszcze mu nie znane, tak nagle pojawiło się w jego życiu.

— Skoro już jesteśmy przy tym temacie, zadam pani inne niedyskretne pytanie. Czy sypia pani z panem Parendon?

To był jej sposób bycia: uważnie i z powagą słuchała pytania, zastanawiała się, a potem, gdy miała odpowiedzieć, zaczynała się uśmiechać, spontanicznie i zarazem złośliwie, a oczy jej skrzyły się za okularami.

— Czasem kochamy się ze sobą, ale zawsze dzieje się to w pośpiechu, słowo „spać” nie pasuje tutaj zupełnie, gdyż nigdy nie spaliśmy jedno obok drugiego...

— Czy Tortu wie o tym?

— Nigdy nie rozmawialiśmy, ale chyba się domyśla.

— Dlaczego?

— Zrozumie pan, gdy pan lepiej pozna mieszkanie. Zaraz policzę, ile osób przewija się tu przez cały dzień... Państwo Parendon i dwoje dzieci — to cztery... Trzy osoby w biurze — to siedem... Ferdynand, kucharka, pokojówka, sprzątaczką — jedenaście... Nie liczę już ma-sażysty pani Parendon, który przychodzi rano, cztery razy w tygodniu, ani jej sióstr, ani przyjaciółek Bambi,.. Mimo że jest wiele pokoi, wszyscy w końcu i tak się spotykają... Zwłaszcza u mnie w biurze...

— Dlaczego właśnie tutaj?

— Ponieważ tu Uażciy przychodzi po papier, po znaczki, po spinacze... Jeśli Gus szuka kawałka

sznurka, przychodzi grzebać w moich szufladach, Bambi wciąż potrzebuje znaczków czy taśmy do klejenia... Natomiast pani...

Patrzył na nią ciekaw dalszego ciągu.

— Jest wszędzie... Często co prawda wychodzi, ale nigdy nie wiadomo, czy jest, czy jej nie ma w domu... Chyba zwrócił pan uwagę, że podłogi w korytarzach i większości pokoi pokryte są dywanem... Nie słychać kroków... Drzwi otwierają się i ktoś pojawia się zupełnie nieoczekiwanie... Czasem na przykład pani Parendon uchyla drzwi i mówi pod nosem: „och, przepraszam”, jakby się pomyliła...

— Czy jest ciekawska?

— Albo roztargniona... Chyba, że to mania...

— Czy zaskoczyła panią kiedyś ze swoim mężem?

— Nie jestem pewna... Kiedyś przed Bożym Narodzeniem, gdy sądziliśmy, że jest u fryzjera, weszła w chwili dość delikatnej...

Zdążyliśmy opanować sytuację, w każdym razie tak mi się wydaje, ale ktoś może wiedzieć... Wydawała się zupełnie naturalna i zaczęła opowiadać mężowi o prezencie kupionym dla Gusa...

— Czy jej stosunek do pani uległ zmianie?

— Nie, jest zawsze na swój sposób miła dla wszystkich, trochę jakby stale krążyła nad nami, aby nas ochraniać... W głębi ducha zdarza mi się nazywać ją aniołem...

— Pani jej nie lubi?

— Nie mogłaby zostać moją przyjaciółką, jeśli to pan ma na myśli.

Zadzwieczał dzwonek i dziewczyna poderwała się.

— Przepraszam pana, szef mnie wzywa...

Już była u drzwi, w biegu schwyciła blok stenograficzny i ołówek.

Maigret został sam; patrzył na pogrążone jeszcze w cieniu podwórze, gdzie szofer, pogwizdując w kółko tę samą melodię, wycierał irchą do połysku Rollsa.

Panna Vague nie wracała i Maigret siedział wciąż w tym samym miejscu koło okna; nie był zniecierpliwiony, choć zwykle nienawidził

czekać. Mógł pójść w głąb korytarza, do gabinetu Tortu i Juliana Baud, lecz siedział jak odrętwiały, z półprzymkniętymi oczyma, wpatrując się to w jeden przedmiot, to w drugi.

Stół służący za biurko miał dyskretnie rzeźbione, ciężkie dębowe nogi i błyszczący od starości blat; nigdyś musiał stać w innym pokoju. Beżowa teczka o rogach oprawionych w skórę służyła jako podkładka. Zwyczajny plastikowy piórnik zawierał pióra, ołówki, gumkę, skrobak do papieru. Przy stoliku z maszyną do pisania leżał

słownik.

W pewnej chwili zmarszczył brwi i z trudem podniósł się, by zobaczyć z bliska stół. Nie pomylił się. Ujrzał wąskie, świeże jeszcze nacięcie, zrobione, jakby za pomocą spiczastego skrobaka, przy przecinaniu kartki papieru.

Obok piórnika leżała płaska metalowa linijka.

— Pan to też zauważył?

Podskoczył. Wróciła panna Vague. Wciąż trzymała w ręku blok stenograficzny.

— O czym pani mówi?

— O nacięciu... Czy to nie okropne, że zniszczono tak piękny stół?...

— Nie wie pani, kto to mógł zrobić?

—r Każdy, kto wchodzi do tego pokoju, a więc ktokolwiek. Mówiłam panu, że wszyscy tutaj się kręcą, jak u siebie...

W ten sposób nie musiał już szukać. Postanowił wczoraj, że zbada wszystkie stoły w domu, zauważył bowiem, że papier został odcięty jednym ruchem, jakby za pomocą gilotyny.

— Jeśli to panu nie sprawi kłopotu, pan Parc-ndon chciałby pana zobaczyć na chwilę...

Maigret zauważył, że blok stenograficzny był czysty.

— Powtórzyła mu pani naszą rozmowę?

— Tak — odpowiedziała bez cienia zakłopotania.

— Czy także to, co mówiliśmy o stosunkach między nim a panią?

— Oczywiście.

— Czy dlatego panią wezwał?

— Nie, rzeczywiście chciał mnie o coś zapytać w związku z aktami sprawy, nad którymi pracuje...

— Wrócę do pani za chwilę. Chyba nie musi mnie już pani wprowadzać?

Uśmiechnęła się.



— Przecież szef powiedział panu, że może pan poruszać się po mieszkaniu jak u siebie w domu.

Zastukał do wysokich dębowych drzwi, pchnął jedną pćlowę i ujrzał

małego człowieczka przy wielkim biurku zarzuconym dzisiaj urzędowymi papierami.

— Niech pan wejdzie... Przepraszam, że panu przerwałem... Nie wiedziałem zresztą, że był pan u mojej sekretarki... A więc zaczyna się pan orientować w sprawach, naszego domku... Nie chciałbym być niedyskretny, aJe czy mógłbym rzucić okiem na drugi list?

Maigret podał mu go chętnie; odniósł wrażenie, że bez barwna twarz adwokata stała się woskowa. Jego niebieskie oczy nie iskrzyły się już za grubymi szklami okularów, lecz ich pytanie wyrażało niepokój.

— „Morderstwo może odtąd zostać popełnione w każdej chwili”...

Pan w to wierzy?

Maigret, wpatrując się w niego równie uparcie, odpowiedział

pytaniem:

— A pan?

— Nie wiem. Już nie wiem. Wczoraj traktowałem sprawę raczej lekko. Nie wierzyłem w brzydki kawał, ale skłonny byłem przypuszczać, że chodzi o małą zemstę, perfidną i naiwną zarazem...

— Na kim...

— Na mnie, mojej żonie czy kimkolwiek z domowników... Zręczny sposób, aby ściągnąć tu policję i zadręczać nas pytaniami.

— Czy rozmawiał pan o tym z żoną?

— Musiałem, gdy zobaczyła pana w moim gabinecie.

— Mógł pan powiedzieć, że przyszedłem w jakiejś zawodowej sprawie...

Na twarzy Parendona malowało się lekkie zdziwienie.

— Czy pana żona zadowoliliby się takim tłumaczeniem?

— Moja żona nigdy nie zadaje mi pytań.

— A moja tak. Podobnie jak pan w swoich przesłuchaniach, o ile wiem z gazet, powtarza je tak długo, aż wydaje jej się, że dotarła do sedna sprawy. Potem, jeśli jest to możliwe, dzieli je na małe, pozornie niewinne zdanka i kieruje do Ferdynanda, kucharki, mojej sekretarki czy dzieci...

Nie skarżył się. W głosie jego nie było cienia goryczy.

Raczej podziw. Wydawało się, że opowiada o jakimś zjawisku zachwalając jego zalety.

— Jaka była jej reakcja?

— Powiedziała, że to zemsta kogoś ze służby...

— Czy służba ma powody do niezadowolenia?

— Zawsze znajdą jakiś powód. Na przykład nasza kucharka, pani Vauquin, pracuje dość długo, gdy mamy gości, natomiast sprzątaczką zawsze kończy pracę o szóstej. Za to sprzątaczką zarabia o dwieście franków mniej. Rozumie pan?

— A Ferdynand?

— Niech pan sobie wyobrazi, że nasz tak poprawny i układny Ferdynand jest byłym żołnierzem Legii Cudzoziemskiej i brał udział

w operacjach komandosów. Nikt nie sprawdza, co robi wieczorem w swoim pokoju nad garażami, kogo przyjmuje, dokąd wychodzi...

— Czy pan przychyła się do opinii żony?

Po chwili wahania adwokat zdecydował się na szczerą odpowiedź.

— Nie.

— Dlaczego?

— Nikt z mojej służby nie napisałby zdań, które są w tych listach, nie użyłby pewnych słów...

— Czy w domu jest broń?

— Zona ma dwie strzelby myśliwskie, gdyż często jest zapraszana na polowania. Ja nie strzelam.

— Z powodu wzroku?

— Nienawidzę zabijać zwierząt.

— Czy ma pan rewolwer?

— W szufladzie, w nocnym stoliku, mam stary browning. Jest to, jak sądzę, zwyczaj wielu ludzi. W obawie przed włamywaczami...

Zaśmiał się lekko.

— Najwyżej mógłbym ich nastraszyć. Pan zobaczy... Otworzył

szufladę biurka i wyciągnął pudełko z nabojami.

— Gdy dzieci były małe, obawiałem się wypadku, przyzwyczailem się trzymać rewolwer w moim pokoju na drugim końcu mieszkania, a naboje tutaj.

— Przypomina mi to, że przekroczyły już wiek dojrzewania, i mógłbym nabić mój browning...

Szperał dalej w szufladzie i tym razem wyciągnął amerykański kastet.

— Wie pan, skąd pochodzi ta zabawka? Przed trzema laty ze zdumieniem odebrałem wezwanie komisarza policji. Na miejscu spytano mnie, czy mam syna o imieniu Jakub. Gus miał wtedy 12 lat.

Po wyjściu ze szkoły między dziećmi wybuchła kłótnia i sierżant złapał tusa z kastetem... Dowiedziałem się od niego po powrocie, że dostał go od kolegi w zamian za sześć paczek gumy do żucia!

Uśmiechał się ubawiony wspomnieniem.

— Czy syn jest gwałtowny?

— Miał trudny okres między dwunastym a trzynastym rokiem życia.

Miewał gwałtowne, lecz krótkotrwałe napady złości, zwłaszcza gdy siostra zrobiła jakąś uwagę. Ale to minęło. Jak na mój gust, jest raczej zbyt spokojny, zbyt wielki odludek...

— Nie ma przyjaciół?

— Znam tylko jednego, który przychodzi do Gusa dość często słuchać muzyki. Nazywa się Génuvier, jego ojciec ma sklep cukierniczy na Faubourg Saint-Honoré... Powinien pan być o nim słyszeć... Przychodzą do niego panie ciornu z najdalszych końców miastu...

— Jeśli pan pozwoli, wrócę tarki...

— Jak się panu podobała?

— Jest inteligentna, zarazem spontaniczna i myśląca...

Słowa te zrobiły wyraźną przyjemność Parendonowi.

Mruknął:

— Dla mnie jest niezastąpiona...

Gdy Parendon zagłębił się na powrót w aktach, Margaret wrócił do biura panny Vague. Nie udawała, że pracuje, i ostentacyjnie go oczekiwała.

— Pytanie wyda się pani śmieszne... Czy młody Parendon...

— Wszyscy nazywamy go Gus...

— A więc czy Gus zalecał się już do pani?

— Ma piętnaście lat.

— Wiem. To właśnie wiek, w którym zaczynają się budzić pewne zainteresowania i uczuciowe niepokoje...

Zastanowiła się. Podobnie jak Parendon namyślała się, zanim udzieliła odpowiedzi, jakby szef nauczył ją dokładności.

— Nie — powiedziała wreszcie. — Gdy przyszłam tutaj, był to urwis, który prosił mnie wciąż o znaczki do swej kolekcji i podkradał

niesamowitą ilość ołówków i skoczą. Czasem także prosił mnie o pomoc w lekcjach. Siadywał tu gdzie pan i przyglądał się z powagą, jak pracuję...

— A teraz?

— Jest o pół głowy wyższy ode mnie i goli się od roku. Teraz podkrada mi już tylko papierosy, jeśli czasem zapomni kupić.

Mówiąc to zapaliła, podczas gdy Maigret nabijał powoli fajkę.

— Czy jego wizyty nie są teraz częstsze?

— Przeciwnie. Chyba mówiłam panu, że z wyjątkiem posiłków, pędzi własne życie, poza rodziną. Ponadto, gdy są goście, nie zjawia się przy stole i woli jeść w kuchni.

— Czy żyje w zgodzie ze służbą?

— Nie robi różnic między ludźmi. Nawet gdy jest spóźniony, nie zgadza się, by szofer odwoził go do szkoły, bojąc się, że koledzy zobaczą go w limuzynie...

— Słowem wstydzi się, że mieszka w takim domu?

— Coś takiego, tak.

— Czy poprawiły się jego stosunki z siostrą?

— Niech pan pamięta, że nie jestem przy posiłkach i rzadko ich widuję razem. Moim zdaniem patrzy na nią jak na ciekawy stwór, którego życie usiłuje zrozumieć, trochę jakby patrzył na jakiegoś owada.;

— A matka?

— Jest dla niego zbyt głośna... Mam na myśli to, że jest stale w ruchu, wciąż rozmawia z tyloma ludźmi...

— Rozumiem... Teraz córka... Paulina, jeśli dobrze pamiętam...

— Nazywamy ją Bambi... Proszę pamiętać, że dzieci mają swoje przydomki, Gus i Bambi... Nie wiem, jak nazywają mnie między sobą; to powinno być zabawne...

— Jak układają się stosunki Bambi z matką?

— Źle.

— Kłócą się?

— Nawet nie. Ledwo się do siebie odzywają.

— Z czyjej strony wypływa ta niechęć?

— Ze strony Bambi. Zobaczy pan... Choć jest tak młoda, sądzi ludzi wokół siebie, a ze spojrzenia jej widać, że sądzi ich surowo...

— niesprawiedliwie?

Nie zawsze.

— A jaki jest jej stosunek do pani?

-

Akceptuje mnie.

— Czy wpada czasem tu do pani?

— Gdy potrzebuje, abym jej przepisała na maszynie wykład albo zrobiła fotokopię jakiegoś dokumentu.

— Nigdy nie opowiada o swych koleżankach czy kolegach?

— Nigdy.

— Jak pani myśli, czy wie, co łączy panią z jej ojcem?

— Zastanawiałam się czasem nad tym. Nie wiem. Każdy w tym domu mógł nas przyłapać bez naszej wiedzy...

— Kocha swego ojca?

— Wzięła go pod opiekę... Uważa go za ofiarę matki i dlatego ma jej za złe, że zajmuje zbyt wiele

miejsca.

— A więc pan Parendon nie odgrywa w rodzinie wielkiej roli?

— Nie jest to rola widoczna...

— Czy próbował kiedyś?

— Może dawniej, gdy mnie tu jeszcze nie było. Musiał zrozumieć, że walka jest z góry przegrana i...

— ...i zamknął się w swojej skorupie.

Zaśmiała się.

— Nie tak bardzo, jak się panu wydaje. Też dobrze wie, co się dzieje naokoło... Nie zadaje pytań, jak pani Parendon... Wystarcza mu, że słucha, obserwuje, wyciąga wnioski... To człowiek niezwykle inteligentny...

— Takie odniosłem wrażenie...

Rozpromieniła się. Po tych słowach zaczęła patrzeć na niego przyjaźnie, jakby udało mu się zdobyć jej sympatię. Zrozumiał, że była kochanką Parendona nie dlatego, że był jej szefem, lecz darzyła go prawdziwym uczuciem.

— Mógłbym się założyć, że nie ma pani kochanka.,.

— To prawda. Wcale nie potrzebuję...

— Nie ciężko pani żyć samotnie?

— Ależ przeciwnie. Nie zniósłabym obok siebie czyjejs stałej obecności... A tym bardziej w moim łóżku...

— Żadnych przygód?

Jak zawsze zawahała się między powiedzeniem prawdy i kłamstwa.

— Czasami... Dość rzadko.

I dodała z komiczną dumą, jakby wypowiadała wyznanie wiary:

— Ale nigdy w moim mieszkaniu...

— W jakich stosunkach jest Gus z ojcem? Zadałem przed chwilą to pytanie, ale rozmowa zesłała na inne tematy...

— Gus podziwia ojca. Podziwia go jednak z daleka, nie okazując mu tego, z pewną pokorą... Widzi pan, aby ich zrozumieć, trzeba by poznać całą rodzinę i śledztwo nie miałooby końca...

— Jak pan wie, mieszkanie należało do Gassin de Beau- lieu i pełno w nim wspomnień... Trzy lata temu były Prezes został kaleką i nie opuszcza swego majątku w Wandei... Przedtem jednak przyjeżdżał tu czasem na tydzień iu b dwa, ma tu swój pokój, i już od wejścia stawał

się na powrót gospodarzem...

— Więc znała go pani?

— Bardzo dobrze. Dyktował mi wszystkie listy.

— Co to za człowiek? Według portretu...

— Tego z gabinetu pana Parendon? Jeśli widział pan ten portret, widział pan jego samego\*.. Tak wygląda prawy sędzia o wielkiej kulturze... Pan rozumie, co mam na myśli?... Człowiek chodzący po świecie niczym pomnik,

który zstąpił z cokołu... Podczas tych wizyt w domu musiała panować niezmacona cisza. Wszyscy chodzili na palcach, mówili szeptem.

Dzieci, wtedy jeszcze małe, były zastraszone... Przeciwnie, ojciec panu Parendon, chirurg...

— Przychodzi tu jeszcze?

— Rzadko. To właśnie chciałam powiedzieć. Jak wszyscy, zna pan jego legendę? Syn chłopów z Berry, zachował chłopskie zwyczaje, nawet na wykładach posługiwał się chętnie surowym i obrazowym językiem. — Jeszcze parę lat temu był to prawdziwy żywioł. Mieszka o dwa kroki stąd, na ulicy de Miromesnil, często więc składał po drodze wizytę. Dzieci go uwielbiały... Nie wszyscy byli tym zachwyceni...

— Szczególnie zaś pani Parendon...

— To pewne, że nie pałali do siebie sympatią... Nie wiem zresztą nic bliższego... Służba wspominała o gwałtownej scenie, która rzekomo miała między nimi miejsc?.. Dość na tym, że nie przychodzi tu już, syn natomiast odwiedza go co dwa, trzy dni...

— Słowem rodzina Gassin odniosła zwycięstwo nad rodziną Parendon.

— Większe, niż pan sądzi...

W pokoju było niebiesko od dymu fajki Maigreta i papierosów panny Vague. Dziewczyna otworzyła szerzej okno, by wpuścić więcej świeżego powietrza.

— Są bowiem dla dzieci w tej rodzinie — ciągnęła żartobliwym głosem — ciocie, wujkowie, kuzyni i kuzynki... Pan Gassin de Beaulieu ma cztery córki, pozostałe trzy mieszkają również w Paryżu... Mają one dzieci w wieku od dziesięciu do dwudziestu dwu lat... Jedna z ich córek zeszłego roku na wiosnę wyszła za mąż za ofi-cera, który pracuje w ministerstwie marynarki... — Tak wygląda familia Gassin de Beaulieu... Mogę panu sporządzić listę z nazwiskami mężów...

— Nie sądzę, żeby w tym stanie rzeczy było to potrzebne. Często tutaj przychodzą?

— Czasem jedna, czasem druga... Chociaż ich małżeństwa są podobno szczęśliwe, ciągle uważają ten dom za siedzibę rodzinną...

— Podczas gdy...

— Widzę, że zdążył już pan zrozumieć. Brat pana Parendon, Germain, jest lekarzem, specjalistą od neurologii dziecięcej. Żona jest z dawną aktorką komediową, wiecznie młodą i pełną życia...

— Czy jest podobny do...

Zrozumiała, że Maigret poczuł się nieco zakłopotany swym pytaniem.

— Nie. Jest wielki i potężny jak ojciec, jeszcze o wiele wyższy. Jest to bardzo przystojny mężczyzna i zaskakująco łagodny. Nic mają dzieci. Rzadko chodzą na przyjęcia i przyjmują u siebie tylko nieliczną grupę najbliższych przyjaciół...

— W tym domu jednak nie bywają... — westchnął Maigret.

Miał już dość dokładny obraz całej rodziny.

— Pan Parendon odwiedza ich wieczorami, gdy jego żona gra w brydża, ponieważ nie cierpi kart. Czasem pan Germain przychodzi na pogawędkę do niego do biura. Wiem o tym na drugi dzień rano, bo w pokoju pachnie cygarem...

Maigret jakby nagle zmienił ton, Nie stał się groźny ani surowy, lecz w jego głosie i spojrzeniu nie było już cienia żartu czy ubawienia.

— Niech mnie pani posłucha, panno Vague, Jestem przekonany, że do tej pory odpowiadając mi pani całkowicie nie odpowiedziała na moje pytanie. Chcę od pani dowiedzieć jeszcze jednej rzeczy i proszę, aby była pani równie szczera. Czy pani zdaniem V.- listy są żartem?

Odpowiedziała bez wahania:

—

— Czy przeczuwała pani, że szykuje się jakiś dramat, zanim jeszcze zostały one napisane?

Tym razem zastanawiała się, zapaliła następnego papierosa, w końcu powiedziała:

Chyba tak...

— Kiedy?

— Nie wiem... Usiłują sobie przypomnieć... Chyba po wakacjach... W



każdym razie w tarntym okresie...

— Co pani wtedy zauważyła?

— Nic szczegól nogo... Coś wisiało w powietrzu... Rodzaj przygnębienia, powiedziałabym...

— Kto według pani jest osobą zagrożoną?

Zaczerwieniła się gwałtownie i umilkła.

— Dlaczego pani nie\* odpowiada?

— Gdyż zna pan świetnie moją odpowiedź: Pan Paren- don.

Maigret podniósł się z westchnieniem.

— Dziękuję pani. Chyba wystarczająco dziś panią wymęczyłem.

Możliwe, że niebawem do pani wrócę.

— Chce par. przesłuchać pozostałych domowników?

— Nic przed obiadem. .Jest już prawie dwunasta. A więc do zobaczenia...

Patrzyła, jak odchodził, wielki, ciężki i niezgrabny; potem, gdy drzwi się zamknęły, wybuchnęła niespodziewanie płaczem.

Ro/dział II f

Na ulicy de Miromesnil znajduje filę mała. ciemna knajpka, prawdziwy zabytek dawnych czadów, gdzie menu napisane jest jeszcze na tablicy, a przez oszklone drzwi widać kręcącą się przy kuchni ogromną szefową na słu- powatych nogach.

Stali bywalcy rniają swoje serwetki w szafkach I jeśli ktoś zajmie ich miejsce, marszczą z niezadowolenia brwi. Dzieje się to zresztą rzadko, gdyż kelnerka, Emma, nie lubi nowych twarzy. Przychodzi tu kilku starych inspektorów z ulicy des Saussaies i staromodni urzędnicy, których można sobie wyobrazić w satynowych zarękawkach za wiekowym, czarnym biurkiem.

Szef poznał od razu komisarza i wyszedł zza lady, by go powitać.

— Kawał czasu nie pokazywał się pan w naszej okolicy... W

każdym razi« miał pan dziś nosa, jest kiszka wieprzowa...

Od czasu do czasu Maigret lubił przyjść tu samotnie, błądzić wzrokiem po przestarzałym wnętrzu, przyglądać się ludziom pracującym zapewne gdzieś w oficynach, gdzie niespodziewanie natrafia się na jakieś biuro porad prawnych, lombardy, sklepy ortopedyczne i filatelisty-Nie myślAtii, przetrwał

różne rzeczy, jak sam to lubił określać.

Przeskakiwał od jednej myśli do drugiej, od obrazu do obrazu, mieszając często sprawy dawne z bieżącymi.

Parendon fascynował go. Gdy myślał o nim, zajadając soczystą i chrupiącą kiskę i nie zalatujące przypalonym tłuszczem frytki, mały człowieczek przybierał to wzruszający, to znowu przerażający kształt.

— Artykuł 64, panie komisarzu!... Niech pan nie zapomina o artykule 64!...

Czy to u niego rzeczywiście obsesja? Dlaczego adwokata, za wielkie pieniądze udzielającego opinii w sprawach morskich, do tego stopnia fascynował jeden artykuł kodeksu mówiący o ludzkiej odpowiedzialności?

I to jak ostrożnie! Nie podając najmniejszej definicji niepoczytalności. Ograniczając ją tylko do momentu czynu. do momentu popełnienia zbrodni.

Znał kilku rutynowanych psychiatrów, najchętniej wybieranych przez sędziów na biegłych, gdyż nie doszukiwali się oni subtelności.

Aby ograniczyć odpowiedzialność przestępcy, wskazują oni zawsze na obrażenia lub deformację mózgu, ewentualnie na epilepsję, ponieważ kodeks karny mówi o tym w następnym artykule.

Jak jednak ustalić, czy człowiek w momencie zabijania, śi. Ue w chwili morderczego ciosu, był w pełni władz umysłowych? Jak, tym bardziej, stwierdzić, czy był w stanie oprzeć się impulsowi?

Tak, artykuł 64... Msi gret wiele razy prowadził na ten temat dyskusje, najczęściej ze swym starym przyjacielem Pardonem.

Dyskutowano o tym niemal na każdym kon- gi - .: e Międzynarodowego Towarzystwa Kryminologii, był to temat obszernych prac, w dużej mierze zapełniających bibliotekę Parendona.

— Jak tam, smakuje panu?

Jowialny gospodarz napełnił mu kieliszek dość młodym chyba, ale wystarczająco dojrzałym beaujolais.

— Pańska żona zawsze wspaniale gotuje...

— Będzie zadowolona, jeśli powie jej to pan sam, przed odejściem...

Tamto mieszkanie było obrazem człowieka takiego jak Gassin de Beaulieu, przyzwyczajonego do gronostajów. Komandora Legii Honorowej, nie wąpiącego nigdy w kodeks, prawo i siebie samego.

Wokół Maigreta siedzieli szczupli i tędzy, trzydziesto- i pięćdziesięcioletni ludzie. Prawie wszyscy jedli samotnie, ze wzrokiem utkwionym przed siebie lub na stronie jakiejś gazety —

wspólną ich cechą była owa szczególna powłoka, jaką nadaje życie skromne i jednostajne.

Człowiek ma tendencję do wyobrażania sobie ludzi takimi, jakimi chciałby ich widzieć. A przecież jeden mężczyzna miał krzywy nos czy cofniętą brodę, inny jedno ramię za nisko, a sąsiad jego był otyły Połowa z nich była łysa, a większość nosiła okular,».

Dlaczego o tym myślał? Tak sobie. Ponieważ Parendon w swym wielkim gabinecie wyglądał jak gnom, a niektórzy powiedzieliby okrutnie — jak małpa.

Pani Parendon natomiast... Ledwo zdążył się jej przyjrzeć. Pojawiła się nagle, jakby chciała mu dostarczyć próbkę swej błyskotliwej osobowości. Jak doszło do tego małżeństwa? Na zasadzie jakiego przypadku lub jakich rodzinnych układów?

Między nimi był Gus, który' w swym pokoju wraz z synem właściciela cukierni zajmował się muzyką high fi-d«lity i elektroniką... Był na szczęście wyższy i silniejszy od ojca i jeśli wierzyć pannic Vague, był chłopcem zrównoważonym...

Była również jego siostra, Bambi, studiująca archeologię. Czy rzeczywiście marzyła o tym, by zbadać kiedyś pustynie Bliskiego Wschodu, czy też studia jej były tylko pretekstem?

Panna Vague zaciekle broniła swego szefa, z którym wykorzystywali pospieszne zbliżenia w kątach biura.

Dlaczego u diabła nie wyznaczali sobie spotkań w innym miejscu?

Czy aż tak bali się pani Parendon? A może pod wpływem poczucia winy zachowywali ukryty i zaimprovizowany charakter tego związku?

Był jeszcze dawny żołnierz Legii Cudzoziemskiej pełniący funkcję lokaja, była kucharka i sprzątaczką, nienawidzące się z powodu godzin pracy i zarobków, pokojówka Liza, której Maigret nie znał i o której mu zaledwie wspomniano.

Był też René Tortu, który przespał się raz z sekretarką, a teraz przedłużał swe zaręczyny, i wreszcie Szwajcar, Julian Baud, który, marząc o teatrze, rozpoczął swą paryską karierę jako gryziپیórek.

Po czyjej stronie byli jedni i drudzy? Po stronie Gassi- nów czy Parendonów?

A ktoś kogoś chciał zamordować.

A na dole, jak na ironię, dawny inspektor Bezpieczeństwa Narodowego pełnił funkcję dozorca!

Naprzeciwko ogrody Prezydenta Republiki, a poprzez przedwcześnie zieleniejące drzewa widać słynny taras, gdzie fotografuje się Prezydenta ściskającego dłoń znakomitym gościom.

Czy nie było w tym wszystkim pewnej nielogiczności?

Bistro, w którym siedział Maigret, wydawało się pewniejsze i bardziej realne. Tu było życie

codzienne. Oczywiście, szarzy ludzie, lecz szarych ludzi jest więcej niż innych, nawet jeśli rzadziej ich sir?

zauważa, jeśli ubrani są w ciemne kolory, mówią ciszej, przemykają się pod murami czy tłoczą w metrze...

Aby uhonorować komisarza, podano mu rumową babkę tonącą w kremie Chantilly. Była to inna specjalność gospodyni. Maigret nie omieszkał pójść do kuchni, by uścisnąć jej rękę. Musiał nawet ucałować ją w oba policzki. Taki utarł się tu zwyczaj.

— Mam nadzieję, że następnym razem szybciej się pan u nas pojawi.

O ile morderca będzie zwlekał, z konieczności będzie tutaj częstszym gościem...

Wracał bowiem myślą do mordercy. Mordercy, który jeszcze nim nie był. Mordercy potencjalnego.

Czyż w Paryżu nie żyje tysiące potencjalnych morderców?

Dlaczego akurat ten zapragnął uprzedzić Maigreta? Przez swoisty romantyzm? Aby wydać się interesującym? Aby pewnego dnia mieć świadectwo Maigreta? A może chciał, aby go powstrzymać od działania?

— Jak go powstrzymać?

Maigret szedł zalany słońcem ulicami aż do Saint-Philippe-du-Roule, skręcił w lewo, zatrzymywał się czasem przed jakąś wystawą: rzeczy szalenie drogie, często bezużyteczne, które jednak ktoś kupował.

Przechodząc koło sklepu papierniczego Roman, przystanął i czytał

dla zabawy na biletach wizytowych i wygrawerowanych zaproszeniach arystokratyczne nazwiska z Almanachu Gotajskiego.

Stąd pochodził papier listowy.

który wywołał całą sprawę. Gdyby nie te anonimowe listy, Maigret nie wiedziałby o istnieniu Parendonów, rodziny Gassin de Beauhieu, wszystkich cioć, wujków, kuzynów i kuzynek.

Inni ludzie spacerowali podobnie jak on, dla przyjemności, mrużyli w słońcu oczy, wdychali ciepłe podmuchy wiatru. Zapragnął wzruszyć ramionami, wskoczyć w pierwszy autobus z odkrytym pomostem i wrócić na Quai.

— Do diabła z Parendonami!

Tam znalazłby może jakiegoś biedaka, który rzeczywiście zabił, bo nie miał już innego wyjścia, albo młodego dzikusa z Pigalle, pochodzącego z Marsylii lub Bastii, który sprzątnął rywala, aby udowodnić sobie, że jest mężczyzną.

Usiadł na tarasie kawiarni koło piecyka i zamówił kawę. Następnie wszedł do budki telefonicznej.

— Mówi Maigret... Proszę mi dać kogoś z mojego biura... Janvier, Lucas albo Lapoinle, wszystko jedno...

Podszedł Lapointe.

— Jest coś nowego, chłopcze?

— Telefon od pani Parenton. Chciała mówić z panem osobiście i z trudem udało mi się jej wytłumaczyć, że, jak każdy człowiek, je pan obiad...

— Czego chciała?

— Żeby pan jak najprędzej się z nią zobaczył...

— U niej w domu?

— Tak... Będzie na pana czekać do czwartej... Potem ma ważne spotkanie...

— Na pewno z fryzjerem... To wszystko?...

— Nie... Ale drugie to chyba jakiś kawał... Pół godziny temu ktoś telefonował. Telefonistka nie wie, czy to kobieta, czy mężczyzna; dziwny głos, mogło to być też dziecko... W

każdym razie osoba ta powiedziała bardzo szybko, dysząc z pośpiechu czy wzruszenia: „Proszę powiedzieć komisarzowi Maigret, żeby się spieszył...” Telefonistka nie zdążyła o nic zapytać, bo odłożono słuchawkę. Tym razem nie chodzi o list, więc zastanawiam się...

Maigret o mały włos nie powiedział:

— Nie zastanawiaj się.

On sam nie zastanawiał się. Nie próbował się bawić w zgadywanki, co nie oznaczało wcale, że był spokojny.

— Dziękuję ci, chłopcze. Wracam teraz na Avenue Ma- rigny.

Zadzwońcie tam, jeśli będzie coś nowego.

Odciski palców na obu listach nic nie dały. Kompromitujące odciski są z latami coraz rzadsze, tyle bowiem o tym mówiono i pisano w gazetach, książkach, telewizji, że nawet najbardziej niezręczni przestępcy są pod tym względem ostrożni.

Przeszedł obok izby dozorczy, skąd dawny inspektor z ulicy des Saussaies ukłonił mu się z pełną szacunku poufałością. Przez bramę przejechał Rolls, w którym siedział tylko szofer. Maigret wszedł na pierwsze piętro, zadzwonił.

— Dzień dobry, Ferdynandzie...

Czyż nie był już trochę domownikiem?

— Zaprowadzę pana do pani...

Ferdynand został uprzedzony. Nic nie zostawiła przypadkowi.

Wziął od Maigreta kapelusz, niczym w restauracji. Po raz pierwszy znalazł się w ogromnym salonie, przypominającym zupełnie salon w jakimś ministerstwie. Nie poniewierał się tu żaden osobisty przedmiot, apaszka, fajeczka czy otwarta książka. Ani jednego niedopałka w popielniczce. Trzy wysokie okna wychodzące na ponu re podwórze, skapani' teraz w .słońcu, były otwarte, szofer ni<' mył

już samochodu.

Korytarz w kształcie łuku. Mieszkanie, jak w starych zamkach, zdawało się zawierać część centralną i dwa skrzydła. Czerwony chodnik na podłodze z białego marmuru. I ciągle te zbyt wysokie sklepienia, przy których człowiek wydawał się pomniejszony.

Ferdynand zastukał cicho do dwuskrzydłowych drzwi, otworzył —

nie czekając na odpowiedź — i zaanonsował:

— Komisarz Maigret...

Znalazł się sam w buduarze, lecz natychmiast z sąsiedniego pokoju wypłynęła pani Parendon idąc w stronę Maigreta z wyciągniętą ręką.

Silnie uścisnęła jego dłoń.

— Czuję się doprawdy zmieszana, panie komisarzu, że telefonowałam do pana, a właściwie do jednego z pana urzędników...

Wszystko tutaj było utrzymane w tonie niebieskim — adamaszek, którym wytapetowane były ściany, fotele w stylu Ludwika XV, plusz na podłodze; nawet chiński dywan w żółty deseń miał niebieskie tło.

Czy to przypadek, że o drugiej po południu była jeszcze w negliżu, w turkusowym szlafroczku?

— Przepraszam, że przyjmuję pana w moim kąciku, jak nazywam ten pokój, ale jest to jedyne miejsce, gdzie nie jest się bez przerwy niepokojonym...

Drzwi, którymi weszła, zostawiła uchylone i Maigret ujrzał toaletkę, również w stylu Ludwika XV — musiała to więc być jej sypialnia.

— Proszę, niech pan siada...

Wskazała na krucho wyglądający fotel. Maigret wśliznął się weń ostrożnie obiocując sobie, że nie będzie się zbytnio kręcił.

— Przed«; wszystkim niech pan zapyli fajkę...

A jeśli nie miał ochoty? Chciała, żeby wyglądał jak na fotografiach w gazetach. Fotoreporterzy także stale mu przypominali:

— Pańska fajka, panie komisarzu...

Zupełnie jakby nie wyjmował fajki z ust od rana do wieczora! A gdyby zechciał zapalić papierosa lub cygaro? A Jbo wcale nie palić?

Nie podobał mu się fotel, w którym siedział i który, jak mu się wydawało, za chwilę znacznie trzeszczeć. Nie podobał mu się niebieski buduar i ta ubrana na niebiesko kobieta przesyłająca mu skryty uśmiech.

Usiadła w berzerce i zapaliła papierosa złotą zapalniczką, jaką Maigret widział na wystawie u CarUera. Cygarniczka była również złota, wiele rzeczy w tych pokojach musiało być ze złota.

— Muszę panu powiedzieć, że jestem trochę zazdrosna, że zajmuje się pan tą małą Vague, zamiast najpierw przyjść do mnie. Dziś rano...

— Nie śmiałbym pani przeszkadzać o tak wczesnej porze...

Czyżby miał zostać świaaiowcem? Zżymał się na własne ugrzecznienie.

— Opowiadano pewno panu, że późno wstaję i do południa grzebię się w moim pokoju... To prawda i nieprawda... Jestem niesłychanie zajęta, proszę pana, i w rzeczywistości zaczynam dzień bardzo wcześnie... Przede wszystkim ktoś musi kierować tym wielkim domem. Gdybym sama nie dzwoniła do dostawców, nie wiem, co byśmy jedli i co za rachunki otrzymywalibyśmy pod koniec miesiąca... Pani Vaquín jest świetną kucharką, lecz ciągle boi się telefonować i jąka się, gdy ma coś powiedzieć przez telefon,.. Dzieci zabierają mi wiele czasu... Chociaż są już dorosłe, muszę troszczyć się o ich ubranie i zajęcia... Gdyby me ja, Gus chodziłby stale w drelichowych spodniach, swetrze i tenisówkach...

Zresztą to nieważne... Nie mówię już o działalności, której się poświęcam... Inni zadowolają się wysłaniem czeku, udziałem w koktajlu na cele dobroczynne, lecz gdy chodzi o rzeczywistą pracę, nie można znaleźć nikogo...

Czekał tak cierpliwie i grzecznie, że aż sam był zdziwiony.

— Wyobrażam sobie, że pana życie również musi być ruchliwe...

— Widzi pani, jestem tylko funkcjonariuszem policji... Zaśmiała się ukazując wszystkie zęby i koniec czerwonego języka. Uderzyło go, że miała wyjątkowo spiczasty język. Włosy miała blond, wpadające w rudy odcień, oczy, określane zazwyczaj jako zielone, a które najczęściej są koloru

brudnoszarego.

Ile mogła mieć lat? Czterdzieści? Trochę więcej? Trochę mniej?

Czterdzieści pięć? Trudno było określić jej wiek, tak bardzo widoczna była na jej twarzy praca instytutu kosmetycznego.

— Muszę powtórzyć to Jacqueline... To moja dobra przyjaciółka, żona ministra Spraw Wewnętrznych...

A więc został ostrzeżony. Nie czekała długo, aby zagrać swój pierwszy atut.

— Wygląda na to, że żartuję... Rzeczywiście żartuję... Ale niech mi pan wierzy, to tylko pozory... Naprawdę, jestem strapiona tym, co się dzieje, bardziej niż strapiona...

1 strzeliła bez ogródek:

— Co pan sądzi o moim mężu?

— Niezwykle sympatyczny...

— Tak, oczywiście... Wszyscy zawsze to mówią... Mam na myśli...

— Bardzo inteligentny, o wyjątkowej wprost inteligencji i—

Niecierpliwiła się. Wiedziała, do czego zdąża, a Maigret nie dał jej dokończyć zdania. Obserwując jej ręce zauważył, że były starsze niż twarz.

— Uważam również, że jest to człowiek o wielkiej wrażliwości...

— Czy, będąc zupełnie szczery, nie powiedziałby pan o przesadnej wrażliwości?

Otworzył usta, tym razem jednak ona była górą i ciągnęła dalej:

— Czasem jego zamknięcie w sobie napawa mnie strachem. To człowiek, który cierpi. Zawsze o tym wiedziałam. Gdy wychodziłam za niego za mąż, w moim uczuciu była pewna doza litości...

Udawał, że nie rozumie.

— Dlaczego?

Przez chwilę poczuła się zbита z tropu.

— Ależ... Przecież widział go pan... Od dziecka musiał mieć kompleks z powodu swego wyglądu...

— Nie jest wysoki. Inni...

Zdenerwowała się.



— Grajmy w otwarte karty, panie komisarzu... Nie wiem, jakie cechy dziedziczne na nim ciążyą, a raczej wiem aż za dużo... Jego matka była młodą pielęgniarzką w Laen- nec, a właściwie salową w szpitalu... Miała zaledwie sze<sup>^</sup>снаście lat, gdy profesor Parendon zrobił jej dziecko... Dlaczego, jako chirurg, nie nakłonił jej do operacji?... Czy zagroziła mu skandalem?... Nie wiem... Wiem tylko, że Emil urodził się w siódmym miesiącu... Jest wcześniakiem.

— W większości wypadków są to potem normalne dzieci...

— Pan uważa, że on jest normalny?

— W jakim sensie?

Zgasiła nerwowo papierosa i natychmiast zapaliła następnego.

— Przepraszam pana, robi pan wrażenie, jakby chciał się pan wymigać, nie chce pan rozumieć...

— Co rozumieć?

Nie wytrzymała. Poderwała się i zaczęła chodzić po chińskim dywanie.

-• Zrozumieć, dlaczego jestem niespokojna, dlaczego,' jak to się mówi, psuję sobie krew! Od dwudziestu niemal lat robię olbrzymie wysiłki, by go ochraniać, by był szczęśliwy, by miał normalne życie...

Palił w milczeniu fajkę nie spuszczając jej z oka. Miała na nogach bardzo eleganckie pantofle, robione prawdopodobnie na zamówienie.

— Te listy..., Nie wiem, kto je napisał, ale wyrażają dość wyraźnie moje obawy...

— Od jak dawna trwa u pani ten stan?

— Od tygodni... Miesiący... Nie śmiem powiedzieć od lat... Na początku naszego małżeństwa wychodziliśmy razem do teatru, na kolacje do restauracji...

— Czy bawiło go to?

— W każdym razie odprężał się... Teraz podejrzewam, że nigdzie nie czuje się dobrze, bo wstydzi się, że nie wygląda jak inni mężczyźni, że zawsze tak z nim było... Nawet wybór prawa morskiego jako kariery zawodowej... Niech pan mi powie, z jakiego powodu tego rodzaju czło

wiek mógł się poświęcić prawu morskiemu... To było jak wyzwanie.,.

Nie mógł występować w sądzie przysięgłych...

— Dlaczego?

Patrzała na niego zniechęcona.

— Ależ zna pan powód równie dobrze jak ja... Czy wyobraża pan sobie tego bladego, niepewnego i nikłego człowieczka broniącego głowy przestępcy na dużej sali sądowej?..

Nie chciał użyć jej własnej broni, przypominając, że słynny adwokat ubiegłego stulecia miał zaledwie 1,55 m wzrostu.

— Gnuśnieje. W miarę upływu lat coraz bardziej separuje się. Gdy wydajemy przyjęcie, z największym trudem udaje mi się wymóc na nim zgodę, by brał w nim udział...

Nie spytał nawet:

Kto sporządza listę gości?

Słuchał, obserwował.

Obserwował usiłując nie dać się zmylić, gdyż obraz Pa- rendona przedstawiony przez tę nerwową i pałającą energią kobietę był

prawdziwy i fałszywy zarazem.

W jakim stopniu prawdziwy?

W jakim fałszywy?

To właśnie chciał rozwikłać. Obraz Emila Parendona był w jego oczach jak poruszone zdjęcie — niewyraźne kontury zmieniały wyraz twarzy zależnie od kąta widzenia.

Prawdą było, że zamknął się we własnym świecie, można by rzec w świecie artykułu 64. Odpowiedzialny? Nieodpowiedzialny? Wielu ludzi pasjonowała ta arcyważna kwestia i od średniowiecza zwoływano nad nią narady.

Ale czy u Parendona myśl ta nie stała się obsesją? Maigret przypominał sobie spojrzenie, jakim adwokat obrzucił go poprzedniego dnia w gabinecie, jakby w tamtym momencie komisarz był dla niego tylko wcieleniem owego słynnego artykułu, albo też jakby zdolny był udzielić mu rozstrzygającej odpowiedzi.

Nie spytał go, w jakim celu przyszedł, czego sobie życzył. Mówił o artykule 64 z drżącymi niemal od podniecenia ustami.

Prawdą było, że...

Tak, pędził życie prawie samotne w zbyt wielkim dla niego domu, jakby włożył marynarkę jakiegoś olbrzyma.

Jak ten wątły człowieczek, gnębiony przez tego rodzaju myśli, mógł bez przerwy stykać się z kobietą tak żywotną i emanującą żywotnością na całe otoczenie?

Prawdą było, że...

Kurdupel, zgoda! Gnom, też zgoda!

Czasami jednak, gdy sąsiednie pokoje wydawały się puste, wykorzystywał z panną Vague nadarzające się okazje...

Co było prawdziwe? A co fałszywe? Czy archeologia Bécambi nie była dla niej schronieniem przed matką?

— Niech mnie pan posłucha. Nie jestem kobietą frywolną, choć pewno tak mnie panu opisano. Jestem osobą za wiele rzeczy odpowiedzialną i która poza wszystkim stara się być użyteczna. Moje siostry i ja zostałyśmy w ten sposób wychowane. Nasz ojciec był

człowiekiem obowiązku...

Ojej! Komisarz nie cenił ani trochę tych słów: idealny sędzia, chluba sądownictwa, wpajający w swe córki poczucie obowiązku...

A jednak w jej ustach nie brzmiało to fałszywie. Nie pozwalała skoncentrować się na jednym zdaniu, gdyż twarz jej i całe ciało było stale w ruchu, błyskawicznie po sobie następowały słowa, myśli i obrazy.

— W domu panuje strach, to prawda, i ja to najbardziej odczuwam... Nie! Niech pan nie myśli, że to ja pisałam te listy...

Jestem zbyt bezpośrednia, by chodzić krętymi drogami... Jeśli chciałabym się z panem zobaczyć, zadzwoniłabym do pana, jak zrobiłam to dziś rano... Boję się, nie tyle o siebie, co o niego... Nie wiem, co jest w stanie uczynić, ale czuję, że coś zrobi, że jest u kresu sił, że zły duch, który w nim siedzi, pcha go do dramatycznego posunięcia...

— Czemu pani tak myśli?

— Widział go pan przecież.

— Zrobił na mnie wrażenie człowieka bardzo spokojnego, zrównoważonego i o dość rozwiniętym poczuciu humoru...

— Jest to humor zgryźliwy, nie mówię już, makabryczny... Ten człowiek się zamęcza... Jego sprawy nie zajmują mu więcej czasu niż dwa, trzy dni w tygodniu, a większość z nich załatwia René Tortu...

Czyta rozmaite przeglądy, wysyła listy na cztery strony świata do ludzi znanych mu jedynie z lektury artykułów... Zdarza się, że przez kilka dni nie wychyla nosa na dwór i ogląda świat przez okno... Te same kasztany, ten sam mur otaczający ogród Elizejski, niemalże ci sami przechodnie... Był pan u nas dwa razy i nie chciał się pan ze mną zobaczyć... Niestety, ja właśnie jestem osobą najbardziej zainteresowaną... Nawet jeśli on sam wydaje się o tym czasem zapominać, niech pan pamięta, że jestem jego żoną... Mamy dwoje dzieci, którymi trzeba jeszcze kierować...

Maigret mógł chwilę odetchnąć, gdyż zapaliła papierosa. Był to już czwarty. Palila chciwie, nie przerywając przemowy i pokój był już pełen kłębow dymu.

— Nie sądzę, aby mógł pan lepiej niż ja przewidzieć, jak postąpi...

Czy skończy ze sobą?... Jest to możliwe i byłoby to dla mnie prawdziwym ciosem po tylu latach wysiłków, by uczynić go szczęśliwym... Czy to moja wina, że się nie udało? Możliwe, że ja będę jego ofiarą; jest to najbardziej prawdopodobne, gdyż stopniowo zaczął mnie nienawidzić... Czy pan to rozumie?... Jego brat jest neurologiem, mógłby nam to wytłumaczyć... Odczuwa potrzebę, by wyładować na kims swe stracone złudzenia, niechęć, upokorzenia...

— Przepraszam, jeśli...

— Niech mi pan da skończyć... Jutro, pojutrze, kiedykolwiek może pan tu zostać wezwany i znajdzie pan mojego trupa... Z góry mu przebaczam, wiem, że jest nie- odpowiedzialny za swe czyny i że medycyna, mimo postępu...

— Pani uważa męża za człowieka chorego?

Spojrzała na niego z pewnym wyzwaniem.

— Tak.

— Chorego psychicznie?

— Być może.

— Rozmawiała pani z lekarzami?

— Tak.

— Czy to byli jego znajomi?

— Wśród naszych przyjaciół jest kilku lekarzy.

— Co dokładnie pani powiedzieli?

— Abym była ostrożna...

— Pod jakim względem?

— Nie wchodziliśmy w szczegóły. Nie były to porady lekarskie, lecz rozmowa towarzyska...

— Czy wszyscy byli tego samego zdania?

— Większość...

— Może pani mi podać nazwiska?

Maigret celowo wyjął z kieszeni czarny notes. Z miejsca zaczęła się wycofywać.

— Byłoby niewłaściwie podawać ich nazwiska, ale gdyby pan zechciał go zbadać przez eksperta...

Ton jego głosu nie był już cierpliwy i dobroduszny. Rysy jego twarzy stały się napięte; sprawy posunęły się za daleko.

— Czy z tą myślą dzwoniła pani do mnie do biura prosząc o spotkanie?

— Z jaką myślą?

— Żeby mnie poprosić, w sposób mniej lub bardziej bezpośredni, abym kazał psychiatrze zbadać pani męża

— Czyżbym tak powiedziała? Nie użyłam nawet tego słowa...

— Było to jednak tak widoczne we wszystkim, co pani mówiła...

— W takim razie źle mnie pan zrozumiał lub źle się wyraziłam...

Jestem być może zbyt szczerą, zbyt spontaniczną... Nie staram się dobierać słów... Chciałam tylko panu powiedzieć, powtarzam to; ja się boję, w domu czai się strach...

— A ja powtarzam: strach przed czym?

Wyczerpana opadła na fotel i spoglądała na niego ze zniechęceniem.

— Już nie wiem, co mam panu powiedzieć, panie komisarzu.

Sądziłam, że zrozumie pan moją myśl, i nie potrzebuję jej dokładnie tłumaczyć. Boję się o siebie, o niego...

— Innymi słowy boi się pani, że panią zamorduje albo że popełni samobójstwo?

— Powiedziane w ten sposób, brzmi to śmiesznie. A tymczasem wszystko wokół nas jest tak przytłaczające...

— Przepraszam, że będę niedyskretny. Czy żyje pani jeszcze z mężem?...

— Nie. Od roku...

— Cóż takiego wydarzyło się rok temu, co zmieniło wasze stosunki?

— Nakryłam go z tą dziewczyną...

— Z panną Vague?

— Tak.

— W biurze?

— To było wstrętne...

— I odtąd zamyka pani przed nim drzwi swojej sypialni?... Czy robił jakieś próby?

— Jeden raz. Powiedziała mu, co rni leżało na sercu, zrozumiał.

— Nie nalegał?

— Nie tłumaczył się nawet. Wycofał się jak człowiek, który pomylił wejścia...

— Miewała pani kochanków?

— Co takiego?

Spojrzenie jej stało się twarde, ostre, nieprzyjemne.

— Zapytuję panią — powtórzył ze spokojem — czy miewała pani kochanków. Takie rzeczy zdarzają się w życiu, prawda?

— Nie w naszej rodzinie, panie komisarzu. I gdyby był tu mój ojciec...

— Pani ojciec, jako sędzia, zrozumiałby, że moim obo wiązkiem jest zadać takie pytanie... Mówiła mi pani o osaczającym panią strachu, o zagrożeniu, które wisi nad panią czy pani mężem...

Ukryty sens pani wypowiedzi sugeruje, bym kazał zbadać pani rneża przez psychiatrę... Jest więc naturalne...

— Przepraszam pana... Uniosłam się... Nie, nie miałam kochanków i nigdy nie będę miała...

— Czy posiada pani broń?

Wstała, poszła żywym krokiem do sąsiedniego pokoju, wracając podała Maigretowi mały rewolwer z okładzinami z masy perłowej.

— Uwaga, jest nabity...

— Jak długo ma go pani?

— Moja przyjaciółka, lubująca się w czarnym humorze, podarowała mi go, gdy wychodziłam za mąż...

—\* Nie bała się pani, że dzieci dla zabawy...

— Rzadko wchodzi do mego pokoju, a gdy były młodsze, trzymałam rewolwer w szufladzie zamkniętej na klucz.

— A pani strzelby?

— Są schowane w pochwie, w gradami, razem z kuframi, walizkami i torbami do gry w golfa.

— Pani mąż gra w golfa?

— Staralam się go tym zainteresować, ale już przy trzecim dołku brak mu było tchu...

— Często choruje?

— Rzadko chorował poważnie... Najcięższą chorobą, o ile sobie przypominam, było zapalenie opłucnej... Natomiast wciąż cierpi na niewielkie bóle, zapalenie krtani, grypę, katary...

— Czy wzywa lekarza?

— Oczywiście.

— Kogoś z państwa przyjaciół?

— Nie. Jest to lekarz dzielnicowy, doktor Martin, mieszkający na ulicy du Cirque, tuż obok...

— Czy doktor Martin rozmawiał kiedyś z panią na osobności?...

— Nie. Ale bywało, że ja czekałam na niego przy wyjściu, aby dowiedzieć się, czy mąż nie jest poważnie chory...

— Co pani mówił?

— Że nie... Że tego rodzaju ludzie żyją właśnie najdłużej... podał za przykład Voltaire'a, który...

— Znam przypadek Voltaire'a... Czy nigdy nie radził pani, żeby udać się do specjalisty?...

— Nie... Tylko...

— Słucham?...

— Och, po co? Znow pan źle zrozumie moje słowa.

— Niech pani jednak spróbuje.

— Wnioskuje z pana stosunku do męża, że zrobił on na panu świetne wrażenie, byłam zresztą z góry o tym przekonana, nie twierdz<sup>^</sup>, że gra świadomie. Przed obcymi ludźmi jest pogodny, popisuje się równowagą. Z doktorem Martin rozmawia podobnie jak z panem — i zachowuje się normalnie.

— A ze służbą?

— Nie on jest odpowiedzialny za obowiązki służby...

— Co to znaczy?

— Nie musi ich karcić... Tę przyjemność pozostawił mnie, pełnię więc niewdzięczną rolę...

Maigret zaczął się dusić w zbyt delikatnym fotelu, w tym buduarze, którego błękit stawał się nie do zniesienia. Wstał i o mało nie przeciągnął się, jakby był u siebie w biurze.

— Czy ma mi pani coś jeszcze do powiedzenia?

Wstała również, mierząc się z nim wzrokiem.

— To zbyteczne.

— Czy chce pani, żebym przysłał tu na stałe inspektora?

— Pomysł jest całkowicie śmieszny.

«— Ani trochę, jeśli wierzyć pani przeczuciom...

— Nie chodzi o przeczucia...

— Nie chodzi również o fakty...

— Jak do tej pory, nie...

— Reasumując... Od pewnego czasu pani mąż zdradza zakłócenia psychiczne...

— Jest pan uparty!

— Zamyka się w sobie i jego zachowanie panią niepokoi ...

— To już bliższe prawdy.

— Obawia się pani o jego lub swoje życie...

— Przyznaję.

— O czyje bardziej?

— Byłabym spokojniejsza, gdybym to wiedziała.

— Osoba, która tu mieszka lub ma łatwy dostęp do domu, przysłała do nas na Quai dwa listy zapowiadające bliski dramat... Mogę pani teraz powiedzieć, że oprócz tego podczas mojej nieobecności w biurze był telefon...

— Dlaczego nie powiedział mi pan wcześniej?



— Gdyż słuchałem pani... Ta krótka wiadomość jedynie potwierdza poprzednie... Nieznajomy, mężczyzna lub kobieta, był dosadny:

„Proszę powiedzieć komisarzowi, że to już wkrótce...” Zbladła. Nie grała komedii. Twarz jej nagle pobliniała i odznaczały się tylko ślady różu. Kąciki ust opadły.

— Och!...

n

Spuściła głowę, jej szczupłe ciało zdawało się tracić nadzwyczajną energię.

Zapomniał w tym momencie o całym rozdrażnieniu i zrobiło mu się jej żal.

— Czy naprawdę pani nie chce, żebym kogoś przew- słał?

— Po co?

— Co chce pani przez to powiedzieć?

— Jeśli coś musi się stać, obecność policjanta, gdziekolwiek by był, nie jest w stanie temu zapobiec...

— Czy pani wie, że mąż posiada pistolet automatyczny?

— Tak.

— Czy on wie również, że pani ma rewolwer?

— Oczywiście.

— A dzieci?

Bliska płaczu ze zdenerwowania krzyknęła:

— Moje dzieci nie mają z tym nic wspólnego, nie rozumie pan?

Zajmują się sobą, nie nami. Mają własne życie. To zaś, co zostało z naszego życia, nic ich nie obchodzi...

Znów mówiła gwałtownie, jakby pewne tematy samorzutnie budziły w niej pasję.

— Niech pan już idzie!... Przepraszam, że pana nie odprowadzę...

Ciekawa jestem, na co liczyłam.. Co ma być, to będzie!... Niech pan wraca do mego męża lub do tej dziewczyny'... Do widzenia panu...

Otworzyła mu drzwi i czekała, aż wyjdzie, by je zamknąć. Już w korytarzu Maigret poczuł się, jakby

wyszedł z innego świata; niebieski kolor całego wnętrza wciąż go jeszcze prześladował.

Wyrzał przez okno na podwórze i zobaczył innego szo-ic-ra wycierającego jakiś inny samochód. Wciąż świeciło słońce, wiał

lekki wietrzyk.

Kusiło go, by pójść do znanej mu już szatni, wziąć kapelusz i wyjść bez słowa. W końcu jednak, jakby wbrew sobie, wszedł do biura panny Vague.

Ubrana była w spódniczką i białą bluzkę. Robiła fotokopie dokumentów. Żaluzje były zapuszczone i przedostawały się tylko wąskie promienie światła.

— Chce pan pewno zobaczyć się z panem Parendon?

— Nie.

— Tym lepiej, jest właśnie na konferencji z dwoma ważnymi klientami, jeden z Amsterdamu, drugi z Aten. Obaj są armatorami, którzy...

Nie słuchał. Podniosła żaluzje i słońce zalało niewielki pokój.

— Wygląda pan na zmęczonego...

— Spędziłem całą godzinę z panią Parendon...

— Wiem o tym.

Przygłądał się centralce telefonicznej.

— Czy to pani połączyła ją z Quai des Orfèvres?

— Nie, nie wiedziałam nawet, że telefonowała. Liza, gdy przyszła do mnie po znaczek...

— Kto to jest ta Liza?

— Pokojówka.

— To wiem. Pytam, co to za dziewczyna...

— Prosta dziewczyna podobnie jak ja... Obie przyjechałyśmy z prowincji, ja z małego miasteczka, ona ze wsi... Ja miałam pewne wykształcenie, więc zostałam sekretarką, ona nie, została więc pokojówką...

— Ile ma lat?

— Dwadzieścia trzy... Znam wiek wszystkich domowników, gdyż załatwiam formalności ubezpieczeniowe...

— Oddana?...

— Wypełnia bardzo sumiennie swe obowiązki i chyba nie ma ochoty zmieniać miejsca...

— Czy spotyka się z chłopcami?

— W swój wolny dzień, w soboty...

— Czy jest na tyle inteligentna, żeby napisać listy, które pani czytała?

— Z pewnością nie.

— Czy wie pani, że mniej więcej rok temu pani Parendon odkryła pani romans ze swym mężem?

— Mówiłam panu o jednym takim wypadku, ale innym razem mogła otworzyć i zamknąć bezszelestnie drzwi...

— Czy Parendon zwierzył się pani, że od tego czasu żona nie żyje z nim?

— To i tak było niezmiernie rzadkie!

— Dlaczego?

— Nie kocha jej.

— Nie kocha, czy już nie kocha?

— To zależy od tego, co rozumie się przez słowo „kochać”. Był na pewno wdzięczny, że go poślubiła, i przez wiele lat starał się jej tę wdzięczność okazać...

Maigret uśmiechnął się pod wąsem na myśl, że po drugiej stronie

ściany dwóch ważnych przemysłowców z przeciwnych krańców Europy oddawało swój majątek w ręce małego człowieka, o którym, w ten sposób, rozmawiał z panną Vague.

Dla nich nie był pociesznym gnornem, częściowo bezsilnym, zamkniętym w sobie i przeżywającym niezdrowe myśli, lecz wyrocznią prawa morskiego. Czy wszyscy trzej nie operowali właśnie setkami milionów, gdy tymczasem pani Parendon, zła i przybita, u w każdym razie za

wiedziona, szykowała «io na Kway: spotkanie o czwarte).

— Nic\* chce pan usiąść?

— Chyba pójde rzucić okiem do sąKkrdniegr» biura.

— Jest tam tylko Julian Baud, Tortu jest w sądzie. Zrobił

nieokreślony gest.

— Niech będzie Julian Baud!

## Rozdział IV

Jakby wszedł do zupełnie innego mieszkania. Reszta domu była uporządkowana, zastygła w powadze, jaką niegdyś zarządził prezes Gassin de Beaulieu, ale w biurze, które René Tortu dzielił z młodym Julianem Baud, od pierwszego wejrzenia uderzał bałagan i niedbalstwo.

Przy oknie stało zarzucone papierami biurko, jakie widuje się we wszystkich firmach handlowych. Umieszczone na sosnowych półkach segregatory, w miarę potrzeby, nakładano stopniowo jedne na drugie.

Leżały nawet na wypastowanym parkiecie.

Julianowi Baud za biurko służył dawny stół kuchenny, pokryty papierem do opakowań przypiętym pineskami. Na ścianie przylepione były skoczem zdjęcia nagich kobiet powycinane z pism. Gdy komisarz otworzył drzwi, Baud był zajęty frankowaniem listów, które po kolei ważył. Podniósł głowę i spojrzał na Maigreta bez zdziwienia i bez wyrazu, jakby zastanawiając się, po co tu przyszedł.

— Pan szuka Tortu?

— Nie, wiem, że jest w sądzie.

— Wróci niebawem.

— Nie chodzi mi o niego.

— Więc o kogo?

— O nikogo specjalnie.

Był to chłopak dobrze zbudowany, rudowłosy, z piegami na policzkach. Jego fajansowoniebieskie oczy wyrażały całkowity spokój.

— Może pan usiądzie?

— Nie...

— Jak pan woli...

Ważył dalej listy, niektóre o dużym formacie, pisane na papierze biurowym, potem sprawdzał w książeczce taryfy pocztowe dla różnych krajów,

— Bawi to pana? — spytał Maigret.

— Widzi pan, odkąd przyjechałem do Paryża...

Miał rozkoszny akcent, przeciągał niektóre sylaby.

— Skąd pan pochodzi?

— Z Morges nad Lcmanem... Był pan tam?...

— Przejeżdżałem...

— Ładnie tam, prawda?

„Ładnie” stawało się „łaaadnie”, a „prawda” brzmiała jak śpiew.

— Tak, ładnie... Co pan myśli o tym domu?

Zle zrozumiał sens pytania:

— Jest duży...

— Jak układają się pana stosunki z panem Parendon?

— Nie widuję go często... Moja rola to przyklejanie znaczków, chodzenie po zakupy, na pocztę, wiązanie paczek... Nie mam ważnych funkcji... Od czasu do czasu szef przychodzi do biura i mówi klepiąc mnie po ramieniu: „Wszystko w porządku, młody człowieku?” Służba nazywa mnie małym Szwajcarem, chociaż mam metr osiemdziesiąt wzrostu...

— Czy lubi pan pannę Vague?

— Jest miła...

— Co pan o niej myśli?

— Wie pan, ona też jest po drugiej stronie, po stronie szefa...

— Co chce pan przez to,, powiedzieć?

— To, co mówię, nic więcej... Oni mają tam swoją pracę, my mamy tutaj swoją... Jeśli szef kogoś potrzebuje, zwraca się do niej, nie do mnie...

W jego twarzy malowała się naiwność, Maigret jednak nie miał pewności, czy nie była udana.

— Słyszałem, że chce pan zostać dramaturgiem?

— Próbuję pisać sztuki... Napisałem już dwie, ale nie są dobre...

Gdy przyjeżdża się, jak ja, z kantonu Vaud, trzeba najpierw przyzwycząić się do Paryża...

— Tortu panu pomaga?

— W czym?

— W poznawaniu Paryża... Na przykład chodząc gdzieś z panem wieczorami...

— Nigdy ze mną nigdzie nie chodził... Ma co innego do roboty...

— Co takiego?

— Ma narzeczoną, kolegów... W chwili gdy wysiadłem na Dworcu Lyońskim, zrozumiałem, że tutaj każdy żyje dla siebie...

— Czy widuje pan często panią Parendon?

— Dość często, zwłaszcza rano... Jeśli zapomni zadzwonić do dostawcy, przychodzi do mnie: „Mój drogi Baud, niech pan będzie tak dobry i zamówi mi mięso na pieczeń i niech pan poprosi, żeby je natychmiast dostarczono... Jeśli akurat nie mają przez kogo przysłać, niech pan skoczy do rzeźnika, dobrze?”

Chodzę więc do rzeźnika, do sklepu rybnego, do pie-Uarni, do jej szewca, jeśli jest coś do naprawy... Zawsze: „mój drogi Baud”... Zrób to czy tamto, lub naklejaj znaczki...

— Co pan o niej sądzi?

— Możliwe, że umieszczę ją w jednej ze sztuk...

— Dlatego, że jest to osoba niezwykła?

— W tym domu nie ma zwykłych ludzi... Wszyscy są stuknięci...

— Czy szef również?

— Jest na pewno inteligentny, inaczej nie mógłby pracować w tym zawodzie, ale przecież jest maniakiem... Z tą całą forszą mógłby robić coś innego, niż siedzieć za biurkiem czy w fotelu... Nie jest specjalnie silny, to prawda, ale to nie przeszkadza...

— Czy wie pan o jego związku z panną Vague?

— To publiczna tajemnica... Ale mógłby pozwolić sobie na takich dziesięć, sto. rozumie mnie pan?...

— A jego stosunki z żoną?...

— Jakie stosunki?... Mieszkają pod jednym dachem, przechodzą obok siebie na korytarzach, jak obcy ludzie na ulicy... Raz musiałem wejść do jadalni podczas obiadu, gdyż byłem sam w biurze i otrzymałem właśnie pilny telegram... I co zobaczyłem? Siedzieli przy stole, jak obcy sobie ludzie w restauracji...

— Nie darzy ich pan specjalną sympatią?

— Nie trafiłem najgorzej... Dostarczają mi typów na bohaterów...

— Komicznych?

— Komicznych i tragicznych zarazem... Jak w życiu...

— Słyszał pan o listach?

— Oczywiście...

— Nie domyśla się pan, kto mógł je napisać?

— Każdy... Na przykład ja...

— Pan to zrobił?

— Nie, nie przyszło mi to do głowy...

— Czy lubi pan pannę Parendon?

— Bambi?

Wzruszył ramionami.

— Nie jestem pewien, czy poznałaby mnie na ulicy. Gdy potrzebuje papieru, nożyczek czy czegokolwiek, wchodzi i bierze bez słowa i w ten sam sposób znika...

— Dumna?

— Chyba nie... Może ma taki charakter...

— Pan również sądzi, że dramat jest możliwy?

Spojrzał na Maigreta wielkimi, niebieskimi oczyma.

— Dramat może rozegrać się wszędzie... Na przykład zeszłego roku.

gdy była tak piękna pogoda jak dziś, autobus najechał na biedną staruszkę tuż przed jej domem... A kilka sekund wcześniej niczego nie przeczuwała...

Słysząc było szybkie kroki w korytarzu. Brunet średniego wzrostu, w wieku lat około trzydziestu, zatrzymał się gwałtownie na progu.

— Niech pan wejdzie, panie Tortu...

W ręku trzymał teczkę, miał ważną minę.

— Komisarz Maigret, jak przypuszczam?

— Nie myli się pan.

— Ze mną chce się pan zobaczyć? Jak długo pan czeka?

— Prawdę mówiąc, nie czekam na nikogo...

Był dość przystojnym chłopcem, z ciemnymi włosami, wyraźnymi rysami i agresywnym spojrzeniem. Widać było, że jest zdecydowany dopiąć swego celu w życiu.

— Czemu pan nie siada? — spytał kierując się w stronę biurka, gdzie odłożył teczkę.

— Nasiedziałem się już dzisiaj. Gawędziliśmy sobie z pana młodszym kolegą...

Słowo „kolega” wyraźnie ubodło Tortu i rzucił w stronę Szwajcara złe spojrzenie.

— Miałem ważną sprawę w sądzie...

— Wiem... Często pan występuje?

— Za każdym razem, gdy ugoda okazuje się niemożliwa... Mecenas Parendon rzadko pokazuje się w sądzie... przygotowujemy dokumenty i następnie ja...

— Rozumiem...

Tortu był przekonany o ważności swej osoby.

— Co pan myśli o mecenasie?

— Jako o człowieku czy jako o prawniku?

— I to, i to.

— Jako prawnik grubo przewyższa wszystkich swoich kolegów; nikt nie potrafi tak zręcznie jak on uderzyć w słaby punkt w argumentacji przeciwnika...

— A jako człowiek?

— Jako jego pracownik i jedyny współpracownik nie mam prawa wydawać sądów w tym względzie...

— Czy pana zdaniem jest przewrażliwiony?

— Tak bym tego nie określił... Powiedzmy, że ja na jego miejscu i w jego wieku prowadziłbym bardziej aktywne życie...

— Biorąc na przykład udział w przyjęciach, które wydaje jego żona, czy też chodząc z nią do teatru



lub na kolację do restauracji?

— Być może... Nie żyje się wyłącznie wśród książek i dokumentów...

— Czytał pan listy?

— Mecenas Parendon pokazał mi fotokopie.

— Wierzy pan, że to żart?

— Oczywiście... Przyznam się pana, że zbytnio się nad tym nie zastanawiałem...

— A jednak mówią one o dramacie, który ma się rozegrać w tym domu w bliższej lub dalszej przyszłości..

Tortu nic nie powiedział. Wyciągnął z teczek papiery i układał je w segregatorach.

— Czy ożeniłby się pan z kobietą taką jak pani Parer? — Liko młodszą?

Tortu spojrzał na Maigretę ze zdziwieniem.

— Jestem zaręczony nie wie pan o tym? Nie ma I?; mcvv,,.

— Jest to sposób, żeby zbadać pana opinię o tej kobiecie...

— Jest pełna energii, inteligentna i umie utrzymywać dobre

stosunki z...

Spojrzał w stronę drzwi i osoba, o której przed chwilą była mowa, stanęła na progu. Miała na sobie płaszcz z lampartą a pod spodem suknię z czarnego jedwabia. Widocznie miała zamiar wyjść albo właśnie wróciła do domu.

— Pan wciąż jeszcze tutaj? — zdziwiła się patrząc chłodno i spokojnie na komisarza.

— Jak pani widzi...

Trudno było powiedzieć, jak długo stała w korytarzu i którą część rozmowy podsłuchiwała. Maigret zrozumiał, co miała na myśli panna Vague mówiąc, że w tym domu nigdy nie wiadomo, czy nie jest się szpiegowanym.

— Mój drogi Baud, czy mógłbyś zaraz zatelefonować do hrabiny de Prange i powiedzieć jej, że spóźnię się co najmniej kwadrans, gdyż w ostatniej chwili coś mnie zatrzymało?... Panna Vague jest zajęta z mężem i tymi panami...

Wyszła rzucając Maigretowi me. Julian Baud z Arsem - 1-V. w Tor.\*

zadowolony. ps.r.1 Parer.don izais 11g,, o-rta\*fl\*& V 1ir.rfsdzi, mogła mu być tylko wdziarna.

\*\*'

— Halo... Czy to mieszkań\*\* v rar^ny d\* Prar.?^

Maigret wzruszył lekko ramionami ; ^ z

Baud bawił go i wcale nie h, ' r ezv •'jr.ro»'\*\*

zrobi kariery jako dramaturg, Za :o 7-.\*\* . ;/r

nie. nie wzbudzał w nim sympatii.

Drzwi do pokoju panny Vague były\*r-

go nie było w pokoju. Przechodzą? obok gab\*: • p \_ ócor\*a Maigret

3reri

usłyszał szmer rozr.r •;.

Gdy komisarz dochodził do szatni, by wziąć kape=%j«z. pojawił \*sę, jakby przypadkiem Ferdynand

— Czy przez cały dzień 3^0; par. \*:oło drzwi

— Nie, panie komisarza ify^r-KS tylko, że będzie pan niebawem wychodził... Pani wyszła przed kukoma nJiiUtami—

— Wiem... Czy siedział pan w wieceni, Fey\*r.-'\*;.>. dzie?...

— Tylko w więzieniu wojskowym w Afrvce\_

— Jest pan Francuzem?'

— Pochodzę z Aubagne...

— Jak to się stało, że wstąpił pan do Legii: Cudzoziemskie;?

— Byłem miody... Zrobiłem klika głupstw...

— W Aubagne?

— W Tul orne... Zaplątałem się w złe towar zy g\* wo\_ Gdy poczułem, że może się to źle skończyć, wstąpiłem do Legii podając się za Belga\_.

— Nie miał pan już polem kłopotów?

— Od ośmiu lat jestem służącym u pana Parendon i nię- dy się na mnie nie skarżył...

— Zadowolony jest pan z tego miejsca?

— Bywają gorsze...

— Czy pan Parendon jest dla pana miły?

— To najlepszy człowiek na świecie...

— A pani?

— Mówiąc między nami, to wiedźma...

— Zatruwa panu życie?

— Wszystkim zatruwa życie... Jest wszędzie, do wszystkiego się wtrąca, na wszystko narzeka... Na szczęście mam pokój nad garażami...

— Przyjmuje pan u siebie dziewczyny?

— Gdyby coś takiego się zdarzyło i ona dowiedziała się o tym, zostałbym z miejsca zwolniony... Jej zdaniem służba powinna zostać wykastrowana... Nie, lecz dzięki temu, że mam pokój poza domem, mogę swobodnie odetchnąć... Mogę też wyjść, gdy mi się podoba, mimo że w moim pokoju jest dzwonek do mieszkania i mam być w/

pogotowiu przez pełne dwadzieścia cztery godziny...

— Czy wzywała pana kiedyś w nocy?

— Trzy czy cztery razy... Na pewno po to, by sprawdzić, czy nie wyszedłem...

— Pod jakim pretekstem?

— Raz usłyszała podejrzany hałas i zrobiła ze mną obchód domu w poszukiwaniu włamywacza...

— Czy to był kot?

— Nie zniosłaby ani psa, ani kota... Pan Gus, gdy był młodszy, poprosił o małego psa na Gwiazdkę, ale zamiast tego dostał pociąg elektryczny... Nigdy nie widziałem chłopca, który by wpadł w podobną pasję...

— Co było za innym razem?

— Drugi wypadek to był zapach spalenizny... Trzeci... Niech sobie przypomnę... Aha: Stała pod drzwiami pana i nie słyszała jego oddechu... Wysłała mnie, żebym zobaczył, czy nic się nie stało...

— Nie mogła wejść sama?

— Myślę, że miała swoje powody... Podkreślam, że nie narzekam...

Wychodzi co dzień po południu i niemal co wieczór, są więc długie chwile spokoju...

— Jak wyglądają pana stosunki z Lizą?

— Nie najgorzej... Jest ładna... Przez pewien okres czasu... Rozumie pan?... Potrzebuje zmiany... Co sobota jest kto inny... Ponieważ nie lubię się z nikim dzielić...

— A pani Vauquin?

— Stara krowa.

— Nie lubi pana?

— Wydziela nam jedzenie, jakbyśmy byli w pensjonacie, a wino jeszcze skąpiej... Pewno dlatego, że jej mąż jest pijakiem i tłucze ją co najmniej dwa razy w tygodniu... Przez to ma żal do wszystkich mężczyzn...

— Pani Marchand?

— Widuję ją jedynie z odkurzaczem w ręku... Ta kobieta nigdy nie mówi, lecz gdy zostaje sama, porusza bezgłośnie wargami... Może odmawia modlitwy?...

— A panienka?

— Nie jest dumna ani kapryśna... Szkoda, że jest stale tak smutna.

— Myśli pan, że ma kłopoty miłosne?

— Nie wiem. Może to na skutek atmosfery w domu...

— Słyszał pan o listach?

Wydawał się zakłopotany.

— Prawdę mówiąc tak... Ale nie czytałem ich...

•— Kto panu mówił?

Coraz bardziej zakłopotany udawał, że stara się sobie przypomnieć.

— Nie wiem... Widzi pan, chodzę tu i tam, zamieniam kilka słów z jednym, kilka z drugim...

— Czy to panna Vague?

— Nie, nigdy nie opowiada o sprawach służbowych.

— Tortu?

— Ten traktuje mnie, jakby był drugim szefem.

— Julian Baud?

— Możliwe... Naprawdę nie pamiętam... Może słyszałem w pokoju kredensowym...

— Wie pan, czy w domu jest broń?

— Pan ma kolta 38 w szufladzie w nocnym stoliku, ale nie zauważyłem naboju w tym pokoju...

— Pan sprząta jego sypialnię?

— To jedna z moich funkcji. Podaję też do stołu, rozumie się.

— Wie pan o innej broni?

— Zabaweczka pani — 6.33 wyprodukowany w Her- stal... Trzeba przytknąć lufę, żeby zrobić komuś krzywdę...

— Czy wyczuł pan ostatnimi czasy jakąś zmianę nastroju w domu?

— Możliwe. Przy stole nigdy wiele nie rozmawiali. Teraz w ogóle się nie odzywają... Czasem tylko pan Gus z panią zamieniają kilka słów...

— Wierzy pan w te listy?

— Mniej więcej tak, jak w astrologię... Według horoskopów w gazetach, co najmniej raz w tygodniu powinienem otrzymywać grubszą sumę pieniędzy...

— Nie sądzi więc pan, że coś się może stać?

— Nie z powodu listów.

— Az jakiego powodu?

— Nie wiem...

— Czy pan Parendon wydaje się panu dziwny?

— To zależy, co rozumie się przez słowo „dziwny”?... Każdy układa sobie życie, jak mu się podoba... Jeśli mu tak jest dobrze... W każdym razie nie jest wariatem... A nawet wręcz przeciwnie...

— Czy to ona jest nienormalna?

— Ależ nie! Ho, ho!... Ta kobieta jest chytra jak lis...

— Dziękuję panu, Ferdynandzie.

— Staralem się, jak mogłem, panie komisarzu... Nauczyłem się, że z policją zawsze lepiej prowadzić szczerą grę...

Drzwi zamknęły się za Maigretem. Schodził po szerokich schodach z poręczą z kutego żelaza. Skinął ręką w stronę dozorca, wvgalowanego niczym portier w luksusowym hotelu. Na dworze z przyjemnością odetchnął świeżym powietrzem.

Przypomniiał sobie o miłym barku na rogu Avenue Ma- rigny i ulicy du Cirque i wstąpił, żeby czegoś się napić. Po namyśle zamówił piwo.

Wciąż wisiała nad nim atmosfera domu Parendonów. Ale czy nie czułby się tak samo po spędzeniu tylu godzin w jakimkolwiek innym domu?

Może nie czułby tego tak silnie. Na pewno spotkałby się z takimi samymi urazami, małostkami, obawami, w każdym razie z tą samą nielogicznością.

Bez filozofii, Maigret!

Czyż nie z zasady nie bronił się przed myśleniem?

Nie widział jeszcze dzieci, kucharki ani sprzątaczk. Widział tylko z daleka ubraną na czarno, w haftowanym fartuszk. i ezepeczku pokojówkę.

il

ł y

Był na rogu ulicy du Cirque, przypomniał sobie więc o doktorze Martin, prywatnym lekarzu Parendona.

— Ile płac??

Na domu, w którym mieszkał doktor, wisiała jego wywieszka.

Maigret wszedł na trzecie piętro; wprowadzony został do poczekalni, gdzie czekały już trzy osoby, i zniechęcony zabrał się do wyjścia.

— Nie czeka pan na doktora?

• - Nie przyszedłem po poradę lekarską... Zadzwoń«» do niego.

— Pana nazwisko?

— Komisarz Maigret...

— Nie woli pan, żebym uprzedził doktora, że pan przyszedł?

— Nie chcę, by pacjenci czekali...

Pomyślał o bracie Parendona; był jednak też lekarzem, a Maigret, przez swego przyjaciela Pardona, znał dość dobrze życie lekarzy paryskich.

Nie miał ochoty wsiadać w autobus ani jechać metrem. Poczul się śmiertelnie znużony i opadł na siedzenie taksówki.

— Quai des Orfèvres...

— Tak, panie Maigret...

Nie sprawiało mu to już przyjemności. Dawniej czuł się dumny, gdy ktoś go rozpoznał, od kilku lat zaczęło go to raczej irytować.

Jak będzie wyglądał, jeżeli nic ?ię nie stanie na Avenue Marigny? Nie miał nawet odwagi mówić o listach podczas raportu. Od dwóch dni zaniedbywał biuro, większość czasu spędzając w mieszkaniu ludzi, którzy prowadzili życie zupełnie mu obce.

Miał na głowie sprawy bieżące, na szczęście niezbyt ważne, niemniej jednak powinien się nimi zająć.

Czy listy i dzisiejszy telefon w południe zmieniły jego spojrzenie na ludzi? Nie potrafił myśleć o pani Parendon jak o zwykłej kobiecie, którą spotyka się na co dzień w autobusie. Widział ją patetyczną w błękitnym buduarze i błękitnym szlafrocuku, odgrywającą przed nim rodzaj tragedii.

Parendon także przestał być zwykłym człowiekiem. Maleńki mężczyzna patrzył na niego jasnymi oczyma, powiększonymi przez grube szkła okularów, i Maigret na próżno usiłował odczytać w nich jego myśli.

A inni... Panna Vague... Ten wielki rudzielec Julian Baud... Tortu spoglądający nagle w stronę drzwi, gdzie jgk spod ziemi wyrosła pani Parendon...

Wzruszył ramionami. Samochód zatrzymał się przed wejściem do gmachu policji kryminalnej i

Maigret poszperał w kieszeniach, aby znaleźć pieniądze.

Z dziesięciu inspektorów, każdy z jakimś problemem, przewinięło się przez jego biuro. Maigret przeczytał listy, które nadeszły podczas jego nieobecności, podpisał plik dokumentów — przez cały jednak czas za wszystkim, co robił w łagodnym spokoju biura, jako drugi plan wyłaniał się dom na Avenue Marigny.

Gnębił go niepokój, z którym nie mógł dać sobie rady. A przecież do tej pory zrobił wszystko, co leżało w jego mocy. Nie popełniono zbrodni ani przestępstwa. Nikt nie wezwał oficjalnie policji w celu zbadania konkretnego wypadku. Nie złożono żadnej skargi.

Mimo to całymi godzinami zajmował się badaniem ludzkiego światka otaczającego Emila Parendon.

Na próżno szukał w pamięci precedensu tego wypadku. A przecież w swej karierze znajdował się już w najróżniejszych sytuacjach.

Piętnaście po piątej doręczono mu pneumatyk; od razu poznał

niewyrobyony charakter pisma.

Stempel wskazywał, że wysłano go o 16,30 w urzędzie pocztowym na ulicy de Miromesnil, to znaczy w piętnaście minut po jego wyjściu od Parendonów.

Rozerwał go w oznaczonym kropkami miejscu. Ze względu na rozmiar kartki, litery były mniejsze niż w poprzednich listach.

Porównując wszystkie trzy Maigret ocenił, że ostatni pisany był mniej starannie, w pośpiechu, być może w panice.

„Panie Nadkomisarzu! Gdy pisałem do Pana pierwszy list, prosząc w nim o odpowiedź za pośrednictwem ogłoszenia, nie przypuszczałem nawet, że z zamkniętymi oczami zagłębi się Pan w tę sprawę, co do której zamierzałem następnie podać Panu niezbędne szczegóły.

Pański pośpiech popsuł wszystko i musi Pan sobie uświadomić, że zabmął Pan za daleko. Dzisiaj w pewnym sensie sprowokował Pan mordercę i jestem przekonany, że z Pana powodu będzie zmuszony ugodzić.

Może się mylę, sądzą jednak, że stanie się to w ciągu najbliższych godzin. Nie mogę już więcej Panu pomóc. Przykro mi. Nie mam do Pana żalu.”

Maigret z powagą odczytywał list tam i z powrotem. Podeszedł do drzwi, by zawołać Janvier i Lapointe'a. Lucasa nie było.

— Przeczytajcie, chłopcy...

Obserwował ich z pewnym niepokojem, jakby chciał



¿badać, czy zareagują podobnie jak on. Nie zatrzymały ich te wszystkie godziny, które on spędził w tamtym domu, mogli więc oceniać obiektywnie.

Stali pochyleni nad kartką z rosnącym zainteresowaniem i stopniowo na ich twarzach ukazało się zatykanie.

— Nabiera to wszystko konkretnych kształtów — mruknął Janvier odkładając list na biurko.

A Lapointe zapytał:

— Jacy są ci ludzie?

— Jak wszyscy i jak nikt... Zastanawiam się tylko, co możemy zrobić... Nie mogę stale trzymać tam człowieka, to zresztą do niczego nie prowadzi... Mieszkanie jest tuk wielkie, że nikt nie wie, co się dzieje na drugim jego końcu— Ustawić kogoś na czatach przy wejściu w bramie?... Zrobię to tej nocy dla spokoju sumienia, lecz jeśli listy te nie są żartem, cios nie nadejdzie z zewnątrz— Jesteś wolny, Lapointe?

— Nie mam nic specjalnego do roboty, szefie.

— Pójdiesz więc tam. Znajdziesz dozorcę, nazywa się Lamure, pracował kiedyś na ulicy des Saussaies. Zostaniesz przez noc w jego pokoju i od czasu do czasu wejdiesz na pierwsze piętro. Niech Lamure sporządzi ci listę mieszkańców domu, łącznie z personelem, i notuj nazwiska wszystkich przychodzących i wychodzących,-

— Rozumiem.

— Co rozumiesz?

— Jeśli coś się stanie, w ten sposób będziemy przynajmniej mieli podstawy...

To była prawda, komisarz nie chciał jednak w ten sp\*> łób podejść do sprawy. Jeśli coś się stanie... No tak! Skoro nie było mowy o kradzieży, wchodziło w grę jedynie morderstwo... Ale kto będzie ofiarą?... Kto zabójcą?...

Rozmawia) z tymi ludźmi, odpowiadali mu na pytania, w pewien sposób spowiadali się przed nim. Dlaczego on, u diabła, ma osądzać, kto kłamał, kto mówił prawdę, wreszcie czy ktoś w tej całej historii nie był pomyłony?

Wielkimi krokami, prawie z wściekłością chodził tam i 7.

powrotem po pokoju i mówił jakby do siebie, a La- pointe i Janvier wymieniali porozumiewawcze spojrzenia.

To prosta sprawa, panie komisarzu... Ktoś do pana napisał, żeby pana uprzedzić o morderstwie... Nie można tylko z góry przewidzieć, kto kogo zabije ani kiedy, ani w jaki sposób... Dlaczego zwrócono się do pana?... Czemu ta osoba pana ostrzega?... Tak sobie... Dla zabawy...

Wyjął fajkę i nabił ją nerwowym ruchem.

— Za kogo mnie się w końcu uważa?... Jeśli coś się stanie, cała w'ina spadnie na mnie... Sugeruje to ten jasnoniebieski świstek papieru... Wygląda na to, że za seybko zabrałem się do rzeczy... Ale co miałem zrobić?... Czekać na zaproszenie?... A jeśli nic się nie stanie, wyglądam jak głupiec, jak ktoś, kto roztrwonił przez dwa dni pieniądze podatników...

Janvier zachowywał powagę, Lapointe nie mógł jednak powstrzymać się od uśmiechu. Nie uszło to uwagi Maigręta. Przez chwilę parowała z niego złość, w końcu uśmiechnął się także i poklepał kolegę po ramieniu.

— Przepraszam, chłopcy. Zdenerwowała mnie w końcu ta sprawa.

Wszyscy ci ludzie chodzą z największą ostrożnością na czubkach palców i ja również zacząłem stąpać jak po szybie...

Tym razem Janvier wyobraził sobie Maigręta chodzącego po szybie i musiał się uśmiechnąć.

— Tutaj przynajmniej mogę pozwolić sobie na wybuch... Stało się... Porozmawiajmy poważnie... Lapointe, możesz już wyruszać, idź coś zjeść i zajmij stanowisko na Avenue Marigny...

Jeśli zauważysz cokolwiek podejrzanego, dzwoń do mnie bez wahania, nawet w środku nocy, na bulwar Richard-Lenoir...

— Dobranoc, stary... Do jutra... Zluzujemy cię o ósmej rano...

Staął przy oknie i patrząc w dół Sekwany ciągnął dalej zwracając się do Janvier:

— Prowadzisz w tej chwili jakieś śledztwo?

— Dziś rano zatrzymałem dwóch szesnastoletnich szczeniaków...

Miał pan rację...

— Czy mógłbyś jutro rano zmienić Lapointe'a?... Wiem, że wygląda to idiotycznie, dlatego się wściekam, muszę jednak podjąć pewne środki zapobiegawcze, które zresztą w niczym nie pomogą...

Zobaczysz, w razie czego wszyscy mnie zaatakują...

Przy ostatnim zdaniu wzrok jego spoczął na jednym z kandelabrow na moście Św. Michała.

— Daj mi list!...

Przypomniał sobie słowo, na które przedtem nie zwrócił uwagi, i chciał sprawdzić, czy dobrze pamięta.

..... przekonany jestem, że z pana powodu zmuszony będzie ugodzić...”

Chodziło mu o słowo „ugodzić”. Oczywiście, że jego znaczenie mogło nie być dosłowne. Jednakże we wszystkich trzech ostrzeżeniach anonimowy korespondent wykazywał pewną staranność w doborze słów.

— Ugodzić, słyszysz? Oboje mają broń. Miałem właśnie zamiar ją skonfiskować, trochę na zasadzie, na jakiej odbiera się dzieciom zapalki. Ale nie mogę im zabrać wszystkich noży kuchennych i noży do przycinania pa-picru... Ugodzić można też pogrzebaczem, a jako, że nie brakuje tam kominków... Ani lichtarzy... Ani posągów...

Zmieni) nagle ton i powiedział;

• - Postaraj się połączyć mnie z Germainem Parendon... Jest neurologiem i mieszka na ulicy d'Aguesseau... Brat mojego Parendona...

Skorzystał z chwili, by zapalić wygasłą fajkę. Janvier siedząc na skraju biurka podniósł słuchawkę.

— Halo!... Czy to mieszkanie doktora Parendon?... Jestem z Policji Kryminalnej... Biuro komisarza Maigret... Komisarz pragnąłby zamienić kilka słów z doktorem.. Słucham,.. W Nicei?... Tak...

Chwileczkę...

Maigret dawał mu znaki,

— Spytaj, gdzie się zatrzymał...

— Halo!... Może mi pani powiedzieć, gdzie doktor zatrzymał się w Nicei?... W Negresco?... Dziękuję pani... Tak, wątpię... Spróbuję jednak...

— Wezwany na konsylium?

— Nie. Kongres neurologii dziecięcej. Zdaje się, że program jest bardzo bogaty i jutro doktor ma wygłosić referat...

— Dzwon do Negresco!.., Jest szósta, obrady powinny być skończone... O ósmej mają z pewnością wielki bankiet w Prefekturze czy też gdzie indziej... O ile nie jest na jakimś koktajlu...

Czekali na połączenie około dziesięciu minut, gdyż numer był ciągle zajęty.

— Halo!... Tu Policja Kryminalna w Paryżu... Dzień dobry pani.., Chciałbym mówić z doktorem Parendon... Tak, Parendon... Bierze udział w kongresie...

Janvier położył rękę na słuchawce.

— Poszła się dowiedzieć, czy jest u siebie w pokoju, czy też na koktajlu, który odbywa się właśnie w dużym salonie na piętrze...

— Halo!... Tak, panie doktorze.. Przepraszam... Komisarz Maigret będzie z panem mówić...

Maigret wziął niezręcznie słuchawkę, gdyż w ostatniej chwili nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć.

— Przepraszam, że pana trudzę, panie doktorze...

— Chciałem właśnie przejrzeć po raz ostatni mój reierat...

— Tak sądziłem... Wczoraj i dzisiaj spędziłem wiele godzin 7. pana bratem...

— Jak doszło do tego spotkania?

Głos miał wesoły, miły, o wiele młodszy, niż przypuszczał Maigret.

— Jest to sprawa raczej skomplikowana, dlatego pozwoliłem sobie do pana zadzwonić...

— Brat ma jakieś kłopoty?

— W każdym razie nie takie, które mogłyby nas obchodzić...

— Czy jest chory?

— Co pan sądzi o jego zdrowiu?

— Wygląda na wątlejszego i delikatniejszego, niż jest w istocie, Ja nie potrafiłbym dać sobie rady z pracą, którą on czasem wykonuje w ciągu kilku dni...

Trzeba było brnąć dalej.

— Postaram się wytłumaczyć panu sytuację w kilku słowach.

Wczoraj rano otrzymałem anonimowy list zawiadamiający mnie o morderstwie, które prawdopodobnie zostanie popełnione...

— U Emila?

Głos byi kpiący.

— Nie. Za długo musiałbym panu opowiadać, w jaki sposób dotarJiśmy do mieszkania pańskiego brata. W każdym razie ten i następny list wyszły z jego domu, oba pisane są na jego papierze listowym, z którego odcięto nagłówek...

— Myślę, że brat uspokoił pana... To chyba dowcip Gusa?...

— Z tego, co wiem, pana bratanek nie robi raczej kawałów...

— To prawda...Bambi zresztą też nie... Bo ja wiem.. Może ten młody Szwajcar, który pracuje u

niego w biurze... Albo pokojówka...

— Otrzymałem właśnie trzecie ostrzeżenie, tym razem pocztą pneumatyczną... Zawiadomiono mnie, że zbrodnia jest bliska...

Lekarz zmienił ton.

— Pan w to wierzy?

— Znam ten dom zaledwie od wczoraj...

— Co mówi Emil? Przypuszczam, że wzruszył ramionami.

— W tym rzecz, że nie traktuje sprawy tak lekko. Przeciwnie, mam wrażenie, że wierzy w realną groźbę...

— Przeciw komu?

— Może przeciw niemu, ..

— Któż chciałby czyhać na jego życie? I dlaczego? Poza namiętnością do artykułu 64 to najbardziej nieszkodliwy i najłagodniejszy człowiek na świecie...

— Bardzo mi przypadł do serca... Mówił pan o namiętności, panie doktorze... Czy jako neurolog nie określiliby pan tego jako maniactwa?...

— Na pewno nie w medycznym sensie tego słowa...

Głos jego stał się suchy, gdyż zrozumiał ukrytą myśl komisarza.

— W sumie zapytuje mnie pan, czy uważam, że brat jest przy zdrowych zmysłach?...

— Nie posuwam się aż tak daleko...

— Czy dom jest pilnowany?

— Wysłałem już jednego z moich inspektorów...

— Czy w ostatnich czasach mój brat nie załatwiał spraw z jakimiś podejrzanymi ludźmi?... Czy nie rzucił się w zbyt wielkie interesy?...

— Nic mi nie mówił o swoich sprawach, wiem jednak, że dziś po południu byli u niego w biurze armatorzy grecki i holenderski...

— Przyjeżdżają do niego nawet z Japonii... Pozostaje nam tylko nadzieja, że to jakiś żart... Ma pan jeszcze jakieś pytania?

Musiał improwizować; na drugim końcu linii neurolog miał zapewne przed sobą widok na

Promenade des Anglais i na błękitne wody Baie des Anges.

— Co pan powie o równowadze psychicznej pana bratowej?

— Powiem panu w sekrecie, że gdyby wszystkie kobiety były takie jak ona, zostałbym kawalerem...

— Pytałem o równowagę...

— Zrozumiałem pana dobrze... Powiedzmy, że jest przesadna pod każdym względem... I dodam, żeby być sprawiedliwym, że sama najbardziej przez to cierpi...

— Czy jest kobietą, która może mieć idée-fixe?

— Na pewno, o ile te idee wywodzą się z konkretnych faktów i mają pozory słuszności... Zapewniam pana, że jeśli rozmawiając z panem skłamała, zrobiła to tak doskonale, że nic pan nie mógł zauważyć...

— Czy użyłby pan słowa „histeria” w jej wypadku?

Zapanowała dość długa cisza.

aa

Nie określiłbym tego tak mocno, chociaż widziałem jej w stanach, które zaliczyłbym do histerii. Widzi pan, minio że jest wyjątkowo nerwowa, jakimś cudom znajduje siłę, by panować nad sobą...

— Czy wic pan, że mn broń w swoim pokoju?

Mówiła mi o tym któregoś wieczoru... Nawet mi pokazała..., To raczej zabawka...

— Zabawka, którą można zabić... Czy zostawił jej pan tę broń?

— • Wio pan, myślę, że gdyby postanowiła zabić, zrobiłaby to w każdym wypadku, z bronią czy bez...

— Pański brat też jest uzbrojony...

— Wiem,..

— Czy w jego wypadku powiedziałby pan to samo?

— Nie... Jestem przekonany, nic tylko jako jego brat, lecz również jako lekarz, że Emil nigdy nikogo nie zabije,.. Jedyne, co mógłby zrobić w chwili zniechęcenia, to popełnić samobójstwo...

Głos mu się załamał.

— Kocha go pan bardzo, prawda?

— Jst nas dwóch...

Słowa te uderzyły Maigreta. Mieli jeszcze ojca, a Germain Parendon był żonaty. Mówił jednak: „Jest nas dwóch...” Jakby tylko siebie mieli na święcie. Czyżby małżeństwo brata było również nieudane?

Parendon otrząsnął się, może spojrzął na zegarek.

— No tak. Miejmy nadzieję, że nic się nie stanie. Do widzenia panu...

-• Do widzenia, panie doktorze...

Komisarz zadzwonił do doktora, aby się uspokoić. Tym czasem stało się wręcz odwrotnie. Po lewej rozmowie był jeszcze bardziej niespokojny.

„Jedyną, co mógłby zrobić w chwili zniechęcenia...” A jeśli to właśnie miało nastąpić? Jeśli to Parendon pisał anonimowe listy? Aby powstrzymać samego siebie od działania? Aby postawić przeszkodę między impulsami a czynem, który go nęcił?

Maigret zapomniał o stojącym przy oknie Janvier.

— Słyszałeś?...

— Tak, to, co pan mówił...

— Nie lubi bratowej..., Jest przekonany, że jego brat nie» kogo nie zabije, ale nie jest zupełnie pewien, czy któregoś dnia nie odbierze sobie życia...

Zaszło słońce i wydawało się, że świat stracił nagie coś istotnego. Nie było jeszcze ciemno, lecz Maigret zapalił światło, jakby chciał

przegnać duchy.

— - Jutro zobaczysz ten dom i lepiej wszystko zrozumiesz... Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś zadzwonił, powiedział Ferdynandowi, kim jesteś, i przeszedł się po mieszkaniu i biurach... Są uprzedzeni, spodziewają się tego... Ryzykujesz jedynie, że pani Parendon pojawi się przed tobą w chwili najmniej spodziewanej... Można uwierzyć, że potrafi chodzić nie poruszając powietrza... Wtedy popatrzy na ciebie i, nie wiedząc dlaczego, poczujesz się winny... Takie uczucie odnoszą wszyscy, którzy się z nią stykają...

Maigret zawołał gońca, podał mu podpisane papiery i listy do wysłania.

■— Nic nowego? Nikogo do mnie nie ma?

— Nikogo, panie nadkomisarzu...

Nie spodziewał się wizyt. Był jednak zdziwiony, że ani Gus, ani Bambi nie pokazali się do tej pory.

Musieli przo-cież wiedzieć, podobnie, jak reszta domowników, co działo się od wczoraj w domu. Z pewnością słyszeli o przesłuchaniach Maigreta.

Może nawet mignął im na zakręcie korytarza?

Gdyby Maigret w wieku piętnastu lat usłyszał, że...

Na pewno poleciałby w te pędy do komisarza z pytaniami, ryzykując jedynie, że zostanie odprawiony z niczym.

Zdawał sobie sprawę, że upłynęło wiele czasu od tamtych dni i że żył w innym świecie.

— Wstąpimy na kieliszek do Dauphine i wracamy do domu na kolację, co?

Tak też zrobili. Maigret. przeszedł się kawał drogi piechotą, potem wziął taksówkę. Nie sprawiał wrażenia specjalnie zatroskanego, gdy żona, słysząc jego kroki, otworzyła drzwi.

— Co jest do jedzenia?

— Odgrzeję ci obiad...

— A co było na obiad?

— Potrawka z fasolą...

Oboje się uśmiechali, chociaż odgadła od razu, w jakim był nastroju.

— Nie przejmuj się...

Nie opowiedział jej o tej sprawie. Czy w końcu wszystkie sprawy nie są takie same?

— Nie ty jesteś odpowiedzialny...

I po chwili dodała:

— O tej porze roku robi się nagle chłodno, lepiej zamknę okno...

## Rozdział V

Następny ranek zaczął się tak samo jak inne — najpierw poczuł

zapach kawy, potem uczył rękę żony na ramieniu i wreszcie ujrzał

panią Maigret, świeżą i rześką, w domowej sukni w kwiaty, podającą mu filiżankę.

Przetarł oczy i spytał bez sensu:



— Były jakieś telefony?

Gdyby ktoś zadzwonił, obudziłby się razem z żoną. Firanki były odsłonięte. Wiosna, choć tak przedwczesna, trwała nadal. Słońce było już wysoko, wyraźnie dobiegał gwar ulicy.

Westchnął z ulgą. Lapointe nie telefonował. A więc na Avenue Marigny nic się nie stało. Nie dopił kawy, wesoły i rześki wstał z łóżka i poszedł do łazienki. Już po otrzymaniu pierwszego listu powinien się być domyślić, że cała ta sprawa nie jest poważna.

Wstydził się teraz trochę, że przejął się nią zupełnie jak dziecko, które wierzy w historie o duchach.

— Dobrze spałeś?

— Wspaniale.

— Wrócisz na obiad?

— Myślę, że tak.

— Masz ochotę na rybę?

Mo/esy. zrobić plaslug«; w przyrumienionym masełku?

itył zdziwiony i zakłopotany, gdy w pół godziny później ujrzał w biur/f\* ł,apointe'a siedzącego w fotelu. Biedak był ilość bJntly i senny. Zamiast zostawić raport i iść spać, czekał na szefa, dializo zapewne, iż Maigret poprzedniego dnia okazywał tak wielkie zaniepokojenie.

No jak lam, mój mały?

Inspektor wstał, podczas gdy Maigret zasiadał przy biurku przed piętrzącym sic; plikiem korespondencji.

Chwileczki;, dobrze?...

Wolał najpierw się upewnić, czy riie nadszedł, znów anonimowy lisi.

• Dobra, opowiadaj!...

Przyjechałem tam przód szóstą i skontaktowałem się z dozorcą Lnmure, który nalegał, żebym zjadł obiad z nim i żoną. Pierwszy osobą, która weszła do domu po moim przyjeździe, dziesięć po szóstej, był młody Parendon, to znaczy Gus...

Lapointo wyciągnij! z kieszeni swoje notatki.

Czy był sam?

Tak... Miał pod pachą kilka szkolnych książek... W par«; minut potem wszedł mężczyzna o kobiecej

urodzie ze skórzaną torbą w ręku... Lumure poinformował mnie, że jest to fryzjer Peruwianki...

„Musi być gdzieś galowe przedstawienie lub wielki bal...” powiedział do mnie spokojnie, wychylając kieliszek czerwonego wina.

Nawiasem mówiąc, wypił sam całą butelkę; był zdziwiony i trochę obrażony, że nie dotrzymuję mu towarzystwa...

KM

Zaraz... piętnaście po siódmej szofer przywiózł autem jakąś kobietę.

„Pani Hortensja” oznajmi! dozorca.

To Jedna z sióstr pani Parendon, z klór?} najczyściej się widują.

Wyszła za mąż za pana Benoit\*15iguet, człowieka bogatego i o dużych wpływach; mają szofera Hiszpana...

Lapointe uśmiechnął się,

Przepraszam, że podaję panu te nieciekawe szczegóły, ale wszystko notowałem, gdyż nie miałem nie do roboty,.. w pół do dziewiątej przed bramą zatrzymała się limuzyna Peruwiańczyków... Wyszli z windy, on we fraku, ona w balowej sukni z etolą z szynszyli..., Takich rzeczy nie widuje się często..

Pięć przed dziewiątą wyszła pani Parendon z panią Hortensją...

Potem dowiedziałem się, dokąd pojechały... Przyjął się zwyczaj, że szoferzy po powrocie wstępują na kieliszek do Lumure\*a, który ma zawsze pod ręką czerwone wino...

W Crillon odbywał się brydż na cele dobroczynne i tam pojechały obie panie. Wróciły trochę po północy... Pani Hortensja weszła na pół

godziny na górę i wtedy właśnie szofer przyszedł na kieliszek... Na mnie nikt nie zwracał uwagi... Wyglądałem na nieważnego kumpla...

Najtrudniej było mi nie pić wina, które wciąż mi podsuwano... Panna Parendon, którą nazywają Bambi, wróciła koło pierwszej w nocy...

— O której wyszła?

- • Nie wiem, nie widziałem, jak wychodziła. Musiała nie być w domu na obiedzie... Była w towarzystwie młodego człowieka, którego przy schodach pocałowała... Wcale się nas nie krępowwała...

Spytałem Lamure'a, czy tak jest zawsze... Powiedział, że tak, /o stuli' jest ton sum młody człowiek, ule nic wie, co to zn jeden... Nosił bluzę, zniszczone mokasyny i miał raczej długie włosy...

Lapointe ze wzrokiem utkwionym w notatniku wyglądał, jakby recytował lekcję. Walczy! z sennością.

-• Nie mówiłeś mi o wyjściu panny Vague, Tortu, Baud.,.

Rzeczywiście tego nic zanotowałem, gdyż wydawało mi się, że stunowi to codzienny rytuał. Zeszli po schodach o szóstej i rozstali się na ulicy...

— Co dalej?

— Dwa czy trzy razy wszedłem na czwarte piętro, ale nic nic zauważyłem i nic nie słyszałem. Z równym skutkiem mógłbym chodzić nocą po kościele.

Peruwiańczycy wrócili koło trzeciej rano po kolacji u Maxima.

Przedtem byli na wielkiej premierze filmowej na Polach Elizejskich...

Zdaje się, że są zadowoleni w Paryżu...

Nic więcej w ciągu nocy się nie wydarzyło... Nawet kot się nie przemknął, dosłownie, gdyż w całym domu nie ma ani jednego zwierzęcia, prócz papugi Peruwiańczyków...

Czy mówiłem panu, że Ferdynand, lokaj Parendonów, poszedł do siebie koło dziesiątej i że kucharka wyszła o dziewiątej?

Następnego dnia, o siódmej rano, pierwszy pojawił się na podwórzu Ferdynand. Wszedł na ulicę, gdyż chodzi do baru, na rogu ulicy du Cirque, na kawę i świeże rogaliki... Wrócił po pół godziny... Przez ten czas przyszła kucharka i sprzątaczką, pani Marchand...

Szofer wyszedł ze swego pokoju nad garażami, koło pokoju Ferdynanda, i poszedł na górę na śniadanie...

W moich notatkach jest pewien bałagan, gdyż nie wszystko od razu zapisywałem. W ciągu nocy z dziesięć razy chodziłem pod drzwi Parendonów, lecz nic: nie słyszałem,,

Szofer Peruwiańczyków wyprowadził z garażu Roi lisa i zaczął go myć jak każdego ranko...

Lapointe schował notes do kieszeni.

— To wszystko, szefie. Przyszedł Janvier, przedstawiłem go Laniure'owi, który, zdaje się, już go znał, i poszedłem,,

A teraz, mój mały, wracaj szybko do domu i idź spać...

Za kilka minut zadzwięczy dzwonek wzywający na raport. Maigret nabił fajkę, wziął nóż do przecinania papieru i szybko przejrzał listy.

Czuł ulgę. Miał ku temu wszelkie powody. A jednak wciąż leżał

mu na sercu jakiś ciężar, nie określony bliżej lęk.

U dyrektora była głównie mowa o synu pewnego ministra, który o czwartej rano miał wypadek samochodowy na rogu ulicy Franciszka I, w nieprzyjemnych okolicznościach. Był pijany, a ponadto nie można było, bez wywołania skandalu, ujawnić nazwiska jego towarzyszkę przewiezionej do szpitala. Kierowca samochodu, z którym się zderzył, poniósł śmierć na miejscu.

— Co pan o tym myśli, Maigret?

— Ja? Nic, panie dyrektorze...

Gdy w grę wchodziła polityka lub cokolwiek, co miało z nią związek, Maigret przestawał słuchać. W takich wypadkach z talentem przybierał nieokreślony, prawie głupkowaty wyraz twarzy.

— Trzeba jednak znaleźć jakieś wyjście... Prasa jeszcze nic nie wie, ale za godzinę, dwie zostanie poinformowana...

Była dziesiąta. Zadzwoił telefon na biurku głównego szefa, który nerwowo podniósł słuchawkę.

— Tak, jest tutaj...

Podał słuchawkę Maigretowi.

— Do pana...

Miał przeczucie. Zanim podniósł słuchawkę, wiedział, że coś się stało na Avenue Marigny. I rzeczywiście usłyszał głos Janvier'a. Głos cichy, jakby zakłopotany.

— To pan, szefie?

— Tak, to ja... No więc kto?

Janvier od razu pojął sens pytania.

— Młoda sekretarka...

— Nie żyje?

— Niestety.

— Zastrzelona?

— Nie... Odbyło się to bez hałasu... Nikt nic nie zauważył... Lekarz jeszcze nie przyszedł... Nie znam szczegółów/, bo byłem na dole...

Pan Parendon jest przy mnie, załamany... Doktor Martin powinien być lada chwila...

— Zasztyletowana?

— Raczej zarżnięta...

— Już tam idę...

Dyrektor i koledzy patrzyli ze zdziwieniem, widząc, że jest tak blady i tak wzruszony. Na Quai des Orfèvres, a szczególnie w wydziale kryminalnym, morderstwo jest chlebem powszednim.

— Kto? — spytał dyrektor.

— Sekretarka Parendona.

— Neurologa?

— Nie. Jego brata. Jest adwokatem... Otrzymywałem anonimowe listy...

Nie tłumacząc się więcej skierował się do wyjścia i poszedł prosto do biura inspektorów.

— Lucas?...

— Jestem, szefie...

Rozejrzał się naokoło.

— Ty też, Torrence..., Chodźcie do mnie do biura\_

Lucas, poinformowany o listach, spytał:

— Doszło do morderstwa?

— Tak...

— Parendon?

— Sekretarka... Zadzwoń do Moersa, aby udał się tam z ekipą techniczną, ja zawiadomię prefekturę...

Zawsze ta sama komedia. Zamiast pracować w spokoju, będzie musiał

przez dobrą godzinę wprowadzać w sprawę zastępcę i sędziego śledczego.

— Ruszamy, chłopcy...

Był przybity, jakby chodziło o kogoś z jego rodziny. Panna Vague była ostatnią osobą w domu, o której życie się obawiał.

Polubił ją. Podobał mu się śmiały i prosty sposób, w jaki mówiła o stosunkach łączących ją z szefem. Wyczuł, że mimo różnicy wieku była mu w głębi duszy namiętnie wierna, co stanowi chyba jedną z

najbardziej prawdziwych form miłości.

Dlaczego właśnie ona została zamordowana?

Wsiadł do małego, czarnego auta, Lucas usadowił eię przy kierownicy, a gruby Torrence na tylnym siedzeniu.

Gdy samochód ruszył, Torrence spytał:

— O co chodzi?

— Zaraz się przekonasz — odparł Lucas, domyślając się, w jakim stanie jest szef.

Maigret nie dostrzegał ulic, przechodniów, zieleńiących z każdym dniem drzew, koło których przejeżdżały niepokojąco blisko autobusy.

Był już tam, na Avenue Marigny. Widział niewielki pokój panny Vague, w którym wczoraj o tej właśnie porze siedział przy oknie.

Patrzyła mu prosto w oczy, jakby ofiarowując swe szczere spojrzenie.

A gdy wahała się z odpowiedzią na pytanie, to dlatego, że szukała odpowiednich słów.

Przed domem stał już samochód komisarza dzielnicowego, którego Janvier musiał zawiadomić. Formalności administracyjnych nie da się uniknąć, bez względu na wydarzenie.

Lamure z pogrzebową miną stał na progu swej luksusowej portierni.

— Kto by pomyślał... — zaczął.

Maigret przeszedł obok niego w milczeniu i wszedł na schódgdyż winda była na piętrze. Janvier oczekiwał go na podeście schodów. Nie odezwał się. On również odgadł uczucia Maigreta. Komisarz nie zwrócił uwagi, że Ferdynand stał na swym posterunku, jakby nigdy nic, i odebrał od niego kapelusz.

Szedł korytarzem, minął gabinet Parendona i znalazł się przed otwartymi drzwiami biura panny Vague. Z początku ujrzał tylko dwóch mężczyzn, znanego mu komisarza dzielnicowego Lambilliotte'a i jednego z jego współpracowników.

Musiał spojrzeć na ziemię, niemal pod stół w stylu Ludwika XIII, który służył za biurko.

Miała na sobie migdałowo-zieloną wiosenną sukienkę.

Włożyła ją chyba po raz pierwszy w tym sezonie, gdyż wczoraj jeszcze widział ją Maigret w granatowej spódniczce i białej bluzce.

Pomyślał wtedy, że jest to jej strój do pracy.

Po otrzymaniu ciosu musiała ześliznąć się z krzesła i ciało jej było zgięte we dwoje, dziwacznie wykręcone. Gardło było otwarte, straciła dużą ilość krwi, która powinna być jeszcze ciepła.

Po dłuższej chwili poczuł, że Lambilliotte ścisnął go za rękę.

— Znał ją pan?

Był zdumiony na widok wzruszenia Maigreta nad martwym ciałem.

— Tak, znałem ją... — powiedział ochryplym głosem.

Wyszedł szybko i skierował się do biura w głębi korytarza. Julian Baud miał zaczerwienione oczy i czuć było od niego alkoholem. Na stole stała butelka koniaku. René Tortu siedział w swoim kącie z ukrytą w dłoniach twarzą.

— Ty ją znalazłeś?

To „ty” przyszło mu zupełnie naturalnie, gdyż du\*y Szwajcar wyglądał teraz jak chłopczyk.

— Tak, proszę pana...

— Usłyszałeś jakiś hałas?... Krzyknęła?... Jęczała?...

— Nawet nie...

Mówił z trudem. Gardło miał ściśnięte. Z jego niebieskich oczu płynęły łzy.

— Przepraszam... Ale to pierwszy raz...

Wydawało się, że czekał na tę chwilę, aby wybuchnąć płaczem. Wyciągnął z kieszeni chustkę.

— Ja... Zaraz... Przepraszam...

Stał i płakał na środku pokoju; robił wrażenie wyższego niż w rzeczywistości. Rozległ się krótki suchy dźwięk. To ni

cybuch w fajce Maigrela pękł pod naciskiem zębów. Główna fajki upadła na ziemię, Maigret schylił się, by ją podnieść, i schował do kieszeni.

Przepraszam, lo silniejsze ode mnie.,,

Powracał mu równy oddech, otarł oczy; zerknął w stroni; butelki z koniakiem, nie śmiał jednak po nią sięgnąć.

- Przyszlii tu dziesięć po dziewiątej i przyniosła mi dokumenty do kolacjonowania... Nie wiem, gdzie je włożyłem... Jest to protokół z wczorajszego posiedzenia, z uwagami i dokumentacją... Musiałem zostawić to u niej w pokoju... Nie... Zaraz... Są u mnie na siole...

Dokumenty były zgniecione przez zaciśniętą rękę.

— Prosiła, żebym jej odniósł, gdy tylko skończę... Poszedłem...

Która to była godzina?

— Nie wiem, siedziałem nad tym około trzydziestu minut... Byłem wesoły, zadowolony... Lubię dla niej pracować... Oglądam się, nie ma jej nigdzie... Potem spuściłem wzrok...

Tym razem Maigret sam nalał mu kieliszek koniaku. Zapewne Ferdynand przyniósł tę butelkę.

Czy oddychała jeszcze?

Pokręcił przecząco głową.

— Szefie, przyszli z sądu...

— Pan również nic nie słyszał? — zwrócił się do Tortu.

— Nic...

— Był pan tutaj przez cały czas?

— Nie, byłem u pana Parendon, rozmawiałem z nim około dziesięciu minut o sprawie, którą zajmowałem się wczoraj w sądzie...

— Która to była godzina?

Nie spojrzałem na zegarek... Kolo wpół do dziesiątej...

Jak się zachowywał?

— Jak zwykle...

— Był sam?

— Była też panna Vague...

— Zaraz wyszła?

— W chwilę po moim przyjściu...

Maigret miał wielką ochotę na łyk koniaku, powstrzymuj się jednak, Czekają go formalności. Zły był z tego powodu, ale w gruncie rzeczy miało to dobre strony, gdyż w ten sposób będzie musiał zapomnieć o całym tym koszmar?\*

Sąd wyznaczył sędziego Duumasa, z którym Maigret pracował już kilka razy. Był to człowiek sympatyczny, dość nieśmiały, jego jedyną wadą była drobiazgowość. Miał około czterdziestu lat.



Przyszedł z nim zastępca De Claes, bardzo chudy, zapięty na ostatni guzik wysoki blondyn, o każdej porze roku noszący jasne rękawiczki.

— Co pan o tym myśli, Maigret? Dowiedziałem się, że pana inspektor był na miejscu. Spodziewał się pan czegoś?

Maigret wzruszył ramionami i wykonał nieokreślony gest.

— Zbyt długo musiałbym to panu tłumaczyć... Na skutek anonimowych listów wczoraj i przedwczoraj spędziłem praktycznie cały dzień w tym domu.

— Czy listy mówiły, kto będzie ofiarą?

— Nie, o to chodzi. Dlatego nie można było zapobiec zbrodni.

Musiałbym za każdym z domowników ustawić policjanta, który chodziłby za nim krok w krok po mieszkaniu. Lapointe był na dole przez całą noc... Dziś rano zastąpił go Janvier...

Janvier stał z boku z opasowaną głową. Z podwórza dobiegał

szum wody — to szofer kierowców mył Kolls Royco'a.

— Kto cię zawiadomił, Janvier?...

— Ferdynand... Wiedział, że jestem tu dole... toż wiało z nim...

W korytarzu słychać było ciężkie kroki. Przyszli specjaliści z całą aparaturą. Wśród nich plątał się mężczyzna o okrągłych kształtach, który rozglądał się po wszystkich osobach zgromadzonych w pokoju, zastanawiając się, do kogo ma się zwrócić.

— Doktor Martin... — przedstawił się w końcu niewyraźnie —

przepraszam, że tak późno przychodzę, miałem właśnie pacjentkę, zanim skończyła się zabawa...

Zobaczył ciało, otworzył torbę i klęknął na podłodze. Był najmniej przejęty ze wszystkich.

— Nic żyje, oczywiście.

— Śmierć nastąpiła błyskawicznie?

— Musiała żyć jeszcze jakieś trzydzieści lub czterdzieści sekund, ale z poderżniętym gardłem nie mogła wołać

o pomoc...

Wskazał na przedmiot częściowo zasłonięty przez stół. Był to spiczasty i bardzo ostry skrobak do papieru, który Ma i grot zauważył

poprzedniego dnia. Oblepiony był teraz gęstą krwią.

Komisarz, przewyciężając się, patrzył na twarz dziewczyny, jej przekrzywione okulary, niebieskie nieruchome oczy.

— Czy mógłby zamknąć pan jej oczy, panie doktorze?

Jedynie na początku kariery zdarzało się Maigretowi być tak wstrząśniętym widokiem martwego ciała.

Lekarz chciał już Wykonać prósb/;, lecz Moers pociągnął go za rękaw.

- Zdjęcia... — przypomniał,

— Tak, prawda... Proszę nie ruszać...

Postara się nic patrzeć na ciało. Trzeba było jeszcze czekać na lekarza sądowego. Ruchliwy, mimo okazałej tuszy, doktor Martin spytał:

— Czy mogę już iść?

Potem spoglądając kolejno na wszystkich zwrócił się do Maigreta:

— To pan jest komisarzem Mnigrct?,, Zastanawiam się, czy nie powinienem pójść do pana Purendon... Wie pan, gdzie on jest?

— Przypuszczam, że u siebie w gabinecie...

— Czy wie, co się stało?... Widział?...

Prawdopodobnie...

W rzeczywistości nikt nic wiedział nic konkretnego. Wszystko wikłało się w sprzecznościach. Fotograf instalował olbrzymi aparat na trójnogu, jakiś szpakowaty mężczyzna wymierza! podłogę, pisarz sędziego śledczego gry- zmolił coś w notatniku.

Lucas i Torrence stali na korytarzu, gdyż nie otrzymali jeszcze żadnych instrukcji.

— Jak pan myśli, co powinienem zrobić? - spytał Martin.

-

Niech pan idzie do niego, jeśli uważa pan, że może pana potrzebować...

Martin dochodził już do drzwi, gdy Maigret zawołał:

—W ciągu dnia będę chciał pewno zadać panu kilka pytań... Będzie pan w domu?...

Między jedenastą a pierwszą pracuję w szpitalu, poza tym będę cały czas...

UJ

Wyciągnął z kieszeni duży zegarek i załęczniony szybko się oddalił.

Sędzia Daumas zakaszłał.

— Zdaje się, że woli pan, Maigret, żebym zostawił pana w spokoju.

Chciałbym tylko wiedzieć, czy ma pan jakieś podejrzenia...

— Nie... Tak... Szczerze mówiąc, panie sędzio, nie wiem... Sprawa ta nie przedstawia się normalnie i czuję się zagubiony...

— Jestem już chyba niepotrzebny? — spytał komisarz Lambilliotte.

— Chyba niepotrzebny... — powtórzył z roztargnieniem Maigret.

Marzył, żeby wszyscy już sobie poszli. Powoli biuro pustoszało.

Od czasu do czasu błysnął flesz w oświetlonym pokoju. Dwaj mężczyźni brali odciski palców zmarłej. Wykonywali tę pracę jak zwykli rzemieślnicy.

Maigret wyśliznął się cicho z pokoju, dał znak Lucasowi i Torrence, aby na niego czekali, i wszedł do drugiego pokoju, gdzie Tortu rozmawiał przez telefon, a Baud, z łokciami na stole, patrzył

przed siebie pustym wzrokiem.

Był pijany. Ilość koniaku w butelce zmniejszyła się o dobre trzy palce. Maigret chwycił butelkę i bez cienia wstydu nalał

sobie do szklanki Szwajcara. Było mu to rzeczywiście potrzebne.

Pracował jak lunatyk, z utkwionym przed siebie spojrzeniem. Od czasu do czasu przerywał, zastanawiając się ze strachem, czy nie zapomniał o czymś istotnym. Uścisnął z roztargnieniem dłoń lekarza sądowego, którego

prawdziwe zajęcie zaczyna się dopiero w Instytucie Medycyny Sądowej.

Przyszli posługacze z noszami. Maigret po raz ostatni spojrział na migdałowozieloną sukienkę, która miała znamionować radość wiosennego dnia.

— Janvier, zajmij się zawiadomieniem rodziców... W biurze w głębi korytarza powinni mieć ich adres... Zobacz też w jej torebce... Zresztą załatw to jakoś...

Swych dwóch pozostałych inspektorów zabrał do szatni.

— Wy dwaj zrobicie plan mieszkania. Przesłuchajcie służbę, dowiedzcie się, gdzie kto był między dziewiątą piętnaście a dziesiątą.

Zanotujcie także wszystko, co widzieli, kto i kiedy przychodził i wychodził...

Ferdynand stał w oczekiwaniu ze skrzyżowanymi ramionami.

— On pomoże wam zrobić plan... Nie wie pan, Ferdynandzie, czy pani Parendon jest w swoim pokoju?

— Tak, proszę pana.

— Jak zareagowała?

— Wcale nie zareagowała, gdyż, jak się zdaje, jeszcze do tej pory nic nie wie. Śpi, o ile mi wiadomo, a Liza nie miała odwagi jej budzić,

— Pan Parendon nie poszedł z nią porozmawiać?

— Pan nie wychodził ze swego pokoju.

— Nie widział ciała?

— Nie, przepraszam. Wyszedł na chwilę, gdy pan Tortu przyszedł

powiedzieć mu, co się stało. Zajrzał do biura panny Vague i natychmiast wrócił do siebie...

Maigret pomylił się poprzedniego dnia, biorąc dosłownie znaczenie słowa „ugodzić”, na podstawie precyzyjnego stylu anonimowych listów.

Nil' ufifhl/onn, ri] <-• ilry,clt>/io, rrt/twlty: rJo'jJownJ«?, y.-u

Ift.untfl >•; by v.n>U>- pry.fjin-if <i\;> \nd/.i /.

W kilic i chwil fHjb'rtt ļlui'.ni do ttiotiuini-nlulTiyh drzwi in l'nrt-iifi/ntn. Nh■ hyh) odjiowid/.i, Co pruwdn flrzwt hyly 7. f/ruū-fu) tmiinnut kl;iti\*k>;,

fjchriyl j' tlnn skrzydła i ujr/.al udwokfii.» W hliti-r/.imym ioiWu.

/'/««/ :i k>ifuU; of/tirufi ty> .'»Ir'Jf'b, ry.y \ I'jji <-ri'Jrrri<>wj im: 'in; nic ļ\u\o\ ■,\cdv.\;d bowlcrn 'y,ii;iy WpM, / brody opuny.- c/.nih't mt fii'r'.i, ji-dmt r<;kn y.whntl.i \n'AWlndrdf rlot.ykuJæ dywujiu.

PodwiH j uuindf w fdfUi nfif/rwiwkt'h SM'<J/b\*li bl\iiu> "uhif, Iwui'/.n w iwnry., jnk podrywu irh pi'TWtf/.f-J rn/.rnowy. ļ'itt fjólU;><:h y.lociiy h<; liU-ry rut npmwav.h książek ļj\*y,tK:hf'n, Ht my V.y, Huywuti x ionyob pMy<:hi>it- rbw.

Ijri>nttf, t'/iy uulyw/.u\ hU'V/yrukny f{ło«: Co t\ o tym rnyńli, pattU- korni;;!r/uV <t'\*v. był d,ub ki, wyt'a.dy.

fiyl to VJOH człowieka /.u\tcU nji•

t'-in-nrifin /. //lbr/yrnh/t

)rudi\*m wypro'to-

wal nit,, podnihtd tlJow<;, okulary uphdly ri;j ziernir; b«\*z grubych ny.Wn-l Jt-tfo wzy rtduły wyra/. y.n\\*;ktii(jnf!Wi d/.U' - fk;i. V, wysiłkiem whył ku,, /.<by J\*r pttdniU-, \ wilo/yf jf 7. powrob rn,

<' .n nit; I'jtn d'/.v-y-'! :,pyihb i binin ri;ką wukw fclróri'; pokoju dziewczyny.

Fnnnhinoh:i HU r.korW.on'-,,.

- A,,,

.. . Wła.śn/' /AfkUiht znbm('.,

Niech p;\*rj ni\*\* y,wihc;i nu rani»' uwn^l, y,Hfuy. Mi; po-zhi<\*mrn,,.

Prawą r\*;k\*; fu>lo'/.yi tn;»rb)ní>\nS\*f i»;j w n u, jak pniUwta plerww-} wizyty, b»'-7,Mf yt, ob^rwow;<>>.

w#;Uii, wyjął / r.hu\*;ik«; i wyl;»ri

bh- twnr/..

C/y łfKiiif ttię v:/.'Vy¿\ nupíi?

W/iok J#i>o

na t«\*j cy/id li, w klm<]

ukryły był /ni»ly

l'jjri tłkiil.'?

t w«t«ł, wyjął rlwi'? nzkłaiłki » but.-ik<; »tor' onintiiiaku, kUtryrń tyi już kW-iJyft f;in n<lori

- 'lo nic był fcfjrt..., powlrd/htt fl<iV/oli ii<lwok;»t.

Chociaż f'jo» był b ra/ !Á\itu \\*7.y, pn/jMawzl iJ/Jwny, J;»kby HM'<'b/>r»l':7.ny, b»/ . wyr;»/ .u.

J»-nl pan w kłopotcie, nl'-príiv/i:»/.'? i, porji<'W«j>! Malfri-t wpatrywał ?;M;

w ni\*\*v,o <\*' /««

fiłowii,

Cfj y,;\*rnlfTZh pan /.robH:V

Moi flwiiij ludzi\*; u»iiil;j]ą wlii^rtu- rozklap ZÍJÍ\*;jÉ k;»/- di-^o z rjfmiownik^w ml^J/y %\Mmą nu^Wr a d%\f/iiąfą.

To «talo «i#; pr/.í 'i il/.i':Kiątą...

Wi'.rn o lyni...

O d/icwiąf.cj

Hyü íJokli»ini 'í cM<\*wiqta pUi&iyAi^Ant, yt\y Torlu pr/tywn ú\ rnrúf/^wiuólomií:., íí/ijí i) okí'-ríi un vj\w/.i\uy vç'Vtur /- iłią/.u, »« którym i>ybt J< fJcn.'jiiííi ír/,y<i/. 'n ú:\jw;£\

(M\ t<-J chwili r»í<\* ruíí/.aí w: pan z to(\*o í'ow/.cflom /;i 'í ortu,

\vvrç nífi ro«(iłi\*m ntó Uil- k;i fii'kufjF /-riííító l(rgo widoku,..

Wrócił«-ni lu i... M;i p;m tífi-Jí;.-, Nín rUH/.ylí-ni ;íí<; y, tn\*\*\*

fot^lii... P'i/ypiíinlitítm so\* Ijii' niejasno, yin przyK/«\*fl< do fniiíc Míntii\* Inój l«'k;u7.,

mówił do mnie i że potakiwałem głową; zbadał mi puls i odszedł w pośpiechu...

— Musiał iść na dyżur do szpitala...

— Pewno myślał, że zażyłem narkotyki...

— Zdarzało się to panu?

— Nigdy, ale mogę sobie wyobrazić, co się wtedy z człowiekiem dzieje...

Drzewa za oknem lekko zaszeleściły, słychać było warkot autobusów na placu Beauveau,

— Nie domyśliłbym się...

Mówił niejasno, nie kończył zdań. Maigret nie spuszczał z niego wzroku. W kieszeni miał ciągle dwie fajki. Wyjął całą, nabił i palił

długimi pociągnięciami, jakby miało go to postawić na nogi.

— Czego nie domyśliłby się pan?

— Istoty... Sposobu... Znaczenia... Tak, to jest właściwe słowo.

Znaczenia tego związku...

Znów wskazał ręką na pokój sekretarki.

— To tak niespodziewane!...

Czy Maigret czułby się pewniej, gdyby przeczytał wszystkie dzieła z psychiatrii i psychologii, które stały na półkach?

Nie pamiętał, żeby przyglądał się przedtem komukolwiek z takim wysiłkiem uwagi. Widział każdy jego ruch, najmniejsze drgnienie mięśni w twarzy.

— Czy pan przypuszczał, że to będzie ona?

— Nie — przyznał komisarz,

— Ja?

— Pan lub pana żona...

— Zdaje się, że śpi; nic jeszcze nie wie...

Adwokat zmarszczył brwi; robił olbrzymi wysiłek, aby się skupić.

¡Migi!

— Nie wychodziła za swego pokoju?

— Ferdynand twierdzi, że nie.,,

— Tą częścią domu nie zajmuje się Ferdynand...

— Wiem... Na pewno jeden z moich inspektorów rozmawia teraz z Liżą.

Parendon nagle ożywił się, jakby jakaś nowa myśl zaczęła go gnębić,

— W takim razie zaaresztuje mnie pan?,,. Jeśli żona me wychodziła od siebie.,,

Czyżby dla niego było oczywiste, że pani Parendon zamordowała sekretarkę?

— Zaaresztuje mnie pan? Niech pan powie!

— Jest za wcześnie, by kogokolwiek aresztować...

Parendon wstał, wypił łyk armaniaku i wytarł czoło wierzchem dłoni.

— Już nic nie rozumiem, Maigret... Przepraszam, panie Maigret... —

poprawił się natychmiast. — Czyżby ktoś obcy wszedł do mieszkania?

Wracał do siebie. Spojrzenie jego nabierało życia.

— Nie. Jeden z moich ludzi spędzi! noc w portierni, a drugi zmienił go o ósmej rano...

— Trzeba znów przeczytać listy... — powiedział półgłosem.

— Wczoraj po południu czytałem je kilka razy...

— Jest coś nielogicznego w tej całej sprawie, jakby nagle wypadki potoczyły się nieprzewidzianym torem...

Usiadł, a Maigret zamyślił się nad tymi słowami. On również, gdy dowiedział się o śmierci panny Vague, odniósł wrażenie, że nastąpiła omyłka.

— Widzi pan, była mi bardzo, bardzo... oddana...

— To za mało powiedziane — uściślił Maigret.

— Sądzi pan?

Wrznrzaj mówiła mi o panu z prawdziwy namiętnością..., Maleńki mężczyzna, nie dowi«rzając, utworzył Kzeroko oczy, jakby riie potrafił przokonać sarnio f;j«bie, że rnngł wzbudzić tego rodzaju uc/uck\*

Miał« m z niq długą rozmowy gdy u pana byli dwaj armatorzy...

Wiem... Mówiła rni... Co sk; ::tało z dokumentami?...

Ha ud, gdy zobaczył trupa, miał J«-\* w ręku, pobiegł wtedy jak oszalały z powrotem do kancelarii... Papiery :.ą trochę pogni«ci one...

Są niezwykle ważne... Ci ludzie nie mogą cierpieć przez to, co dzieje sio w moim domu...

- Czy mogę pana o co.ś spytać, pani«? Parertton?

Czekam na to pytanie', odkąd pan wszedł... Oczywiście ma pan obowiązek je postawić i może mi pan nawet nie uwierzyć na słowo...

Nie, nie ja zabiłem pannę Vague... Są słowa, które nieczęsto wypowiadałem w życiu, które prawie wykreśliłem ze słownictwo...

Użyję teraz jednego z nich, gdyż, by wyrazić prawdę, którą odkryłem, nie znajduję innego: kochałem ją.

Mówił spokojnie, co wywoływało jeszcze większe wrażenie.



Reszta była Już łatwa.

-- Sądziłem, że mam dla niej jedynie pewnego rodzaju przywiązanie połączone ? . pociągami fizycznym... Wstydziałem się tego trochę, mam przecież córkę prawie w jej wk-ku... Antoinette miała w sobie...

Maigret po raz pierwszy usłyszał imię panny Vague.

— Miała w sobie rodzaj... jak by to powiedzieć... spontaniczności, która mnie odświeżała... Widzi pan, spontaniczności w tym domu prawie się nie spotyka... Przynio

sła to z zewnątrz, jak podarunek, jak przynosi rtię że kwiaty,..

- - Wie pan, jak;\* bronią dokonano /.broni?

Przypuszczam, że nożem?

-

Nie... Rodzajem .\*jk robaka, który zauważyłem wczoraj na biurku pańskiej . 'sekretarki.,. Rzucił rni się w oczy, gdyż nie jest to zwykły model... Ostrze jest dłuższe j ostrzejsze'...

Jak wszystkie artykuły biurowe pochodzi ze sklepu Roman...

- Pan go kupował?

— Z pewnością nie ja. Musiała sarna wybrać...

— Panna Vague siedziała za biurkiem i prawdopodobnie przeglądała dokumenty... Część ich dała Baud do kolacjonowania...

Parendon nie sprawiał wrażenia człowieka, który się pilnuje, oczekującego w każdej chwili pułapki. Słuchał uważnie, trochę może zdziwiony, że Maigret przywiązuje taką wagę do tych szczegółów.

Morderca wiedział, że w piórniku jest skrobak, inaczej przyniósłby ze sobą broń...

Skąd pan wie, że nie był uzbrojony i nie zmienił decyzji?,,

Panna Vague widziała, jak brył skrobak Í nic zareagowała, nie wstała... Pracowała dalej, a tymczasem z tyłu...

Parendon zarny.śJił się. Odtwarzał scenę, którą opisał mu Maigret, i robił to z dokładnością wielkiego adwokata.

W jego postawie nie było nic nicsprecyzowantgo. Być może gnom • -

jeśli już koniecznie trzeba się wyśmiewać z ludzi niskiego wzrostu ■

ale gnom o zadziwiającej inteligencji.

— Myślę, że dziś jeszcze będzie musiał mnie pan zaaresztować —

rzekł nagle Parendon.

Powiedział to bez cienia sarkazmu. Był to człowiek, który po prostu wyciągał wniosek po rozważeniu wszystkich za i przeciw.

— Mój obrońca będzie miał okazję, żeby posłużyć się artykułem 64... — dodał z ironią.

Maigret znów poczuł się zagubiony. Uczucie to wzmogło się jeszcze, gdy otworzyły się drzwi do dużego salonu i stanęła w nich pani Parendon. Była nie uczesana i nie umalowana. Nosila ten sam niebieski szlafroczek co poprzedniego dnia. Trzymała się bardzo prosto, lecz mimo to wyglądała staro.

— Przepraszam, że przeszkadzam...

Zachowywała się, jakby w ogóle nic się nie stało.

— Przypuszczam, panie komisarzu, że nie wolno mi porozmawiać sam na sam z mężem... Rzadki to wypadek, ale ze względu na okoliczności...

— Na razie mogą państwo rozmawiać tylko w mojej obecności...

Stała bez ruchu na tle zalanego słońcem salonu. Mężczyźni wstali.

— Świetnie. Wykonuje pan swój zawód.

Zaciągnęła się papierosem i z wahaniem spoglądała to na jednego, to na drugiego.

— Przede wszystkim chciałabym wiedzieć — zwróciła się do Maigreta — czy powziął pan decyzję?

— W związku z czym?

— W związku z dzisiejszym wypadkiem... Właśnie się o wszystkim dowiedziałam i przypuszczam, że będzie pan musiał

kogoś zaaresztować...

— Nie powziąłem żadnej decyzji...

— No tak... Dzieci wrócą niebawem i lepiej będzie, jeśli do tego czasu sprawy się wyjaśnią... Emilu, powiedz, czy to ty ją zabiłeś?...

Maigret nie wierzył własnym oczom i uszom. Stali naprzeciw siebie, w odległości trzech metrów jedno od drugiego, i mierzyli się twardym spojrzeniem, a twarze ich były napięte.

— Śmiesz mnie pytać, czy...

Parendon oddychał z trudem, zacisnął z wściekłości pięści.

— Bez komedii. Powiedz tak lub nie...

Nagle stracił panowanie nad sobą, co nieczęsto musiało mu się zdarzać w życiu, i podnosząc ręce błagalnym gestem do nieba, krzyknął:

— Wiesz dobrze, że nie, na Boga!

Tupał, był w stanie rzucić się na nią.

— To chciałam usłyszeć, dziękuję...

I w sposób jak najbardziej naturalny wycofała się do salonu, zamykając za sobą drzwi.

Rozdział VI

— Przepraszam, że się uniosłem, panie Maigret. Nie leży to w mojej naturze...

— Wiem...

Dlatego właśnie, że wiedział, scena ta dawała mu wiele do myślenia.

Stojący naprzeciw człowieczek odzyskiwał oddech i panowanie nad sobą. Znowu otarł twarz, nie była ona czerwona, lecz żółtawa.

— Nienawidzi jej pan?

— Nie ma człowieka, którego bym nienawidził... Nie sądzę bowiem, że ktokolwiek jest w pełni odpowiedzialny...

— Artykuł 64!...

— Tak, artykuł 64... Wszystko mi jedno, może wyglądam na maniaka, ale zdania nie zmienię...

— Nawet gdy chodzi o żonę?

— Nawet...

— A jeśli zabiła pannę Vague?

Jego twarz na sekundę rozluźniła się, źrenice rozplynęły się.

— Nawet wtedy!

— Jak pan myśli, mogła to zrobić?

— Nikogo nie oskarżam.

— Przed chwilą zadałem panu pewne pytanie... Teraz drugie, na które może pan odpowiedzieć tak lub nie... Mój anonimowy korespondent nie musi być mordercą... Wydawało mu się, że ściągając do domu policję, nie dopuści do rozegrania się dramatu, którego nadejście przeczuwał...

— Przewiduję pytanie... Nie ja pisałem te listy...

— Czy mogła je napisać zamordowana?

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

— Nie wykluczone.. Chociaż nie pasuje mi to do niej... Eyla zbyt bezpośrednia... Mówiłem już panu o jej spontaniczności... Możliwe zresztą, że nie zwróciła się do mnie, wiedząc dobrze...

Zagryzł wargi.

— Co wiedząc?

— Że nawet jeśli czułem się zagrożony, nie zrobiłbym nic...

— Z jakiego powodu?

Patrzył z wahaniem na Maigreta.

— Trudno mi to wytłumaczyć... Dokonałem kiedyś wyboru...

— Żeniąc się?

— Wybierając ten zawód... Żeniąc się... Prowadząc pewien określany tryb życia... Sam muszę ponieść konsekwencje...

— Czy nie jest to sprzeczne z pana poglądami o odpowiedzialności Judzkiej?

— Możliwe... Być może z pozoru...

Był wyraźnie zmęczony i bezradny. Można było odgadnąć kłębiące się pod jego wypukłym czołem bezładne myśli, które usiłował jakoś uporządkować.

Czy niejdy pan, że o»oba, która pisała do mnie te Hsty, wiedziała, że ofiar/j b»;d/.k\* pana aekretarka?

— Nic,

'V\* Halonu, mimo zamkniętych drzwi, dobiegi krzyk; Gdzie ji«Kt ojciec? i prawic natychmiast za Jednym zamachem otworzyły »K drzwi i do pokoju wpadł wynokł chłopak z naytroHzo-\*

nymł włosami. Zrobił kilku kroków i zatrzymał nkj.

Jego spojrzenie biegło od komisarzu do adwokata i w końcu prawie groźnie zatrzymało r;#; no Maigrecic.

Czy zaaresztuje pun mojego ojca?

— - U.spokóJ HU; Gum., Kornik«arz Maigret i ja...

— To pan jeM.

Spojrzał na niego / wk;knzym zainteresowaniem.

— Kogo pan chce zaarewzlować?

— Na razie nikogo...

— W każdym razie rnoqt; przywim-, /v nii} ojciee..

— • Od kogo pan sk\* dowiedział?

— Najpierw w skrócie; od dozorczy, potem od Ferdynanda,,.

— Nio spodzicwał «ił; pan tego trochę?

Puj-endon skorzystał z tej rozmowy i usiadł w »wej zwykłej pozycji przy biurku.

— Czy to przesłuchanie?

Chłopak odwrócił .sic; do ojca, by Hpy^ć go o rad<;,

— Moja rola, CuH...

— Kto panu powiedział, '%.<• rnam ria iruit'> (jau-

— Wszyscy w domu... Nit.\* jest to oficjalne przesłuchanie, lecz tak, jak wszystkim, zadaj»; panu pyt/jnia... A wujc, czy nie spodziewał :-

;k; pan trochę.,.

— Czego?

m

— Tego, co Mało ni»; fr/Ak rano.,.

— Je/»Ji chodzi o podiTfenkjcie gardki Attloinetl'«, to ni\*.\*

— był pan z nkj po imieniu?

-- Od dawna... Hylińmy dobrymi kumplami...

— - A czego pan »l\*; »podziewfd?

Zaczerwienił \*kj gwałtownie.

Niczego konkretnego...

—I.ecz jednak dramatu?

— N)c wiem...

Maigret zauważył, że Pareridon oUerwował ;:yna z wielką uwagi\*, jakby i on zastanawiał nie nad ezyrnij, lub lei dokonał odkrycia.

— Ou«, rrio [łan pkjtoańele lat, prawda?

— • W czerwcu »kończ«; HZ\*;ima6eto...

— Czy woli pun rozmawiać ze mrui w obecwfcł ojca, czy też przejdziemy nami do drugiego pokoju?

Chłopak zawahał »k;, Ochłonał tn wzburzania, k'(:z wt-lijż był w napk;ciu nerwowym, Znowu zwrócił gb» do Pareridona:

— Jak woJijjz, tato?

— Myók;, że obaj lw;d/Je'.io czuć uk; swobodniej w twoim pokoju.., Czeka, «ynku.,, zaraz przyjdzie twoja siostra, może Już zre«zty Jest...

Chciałbym, żebyście oboje zjedli obiad jak zwykle i nU? zajmowali ffk; mna,,. Nic Bifjdf; d/.ik do «tołu...

Nie b<7«lzlł'«7 wcale jadł?

—\* NJo wlorn, może zjem kanapki,-,.. Potrzebuj«\* trochę spokoju...

Widać byk), że chłopiec chciałby podbiec do ojca i uo«\* łowaó go.

Powstrzymywało go od tego nip obecno#: Mai- greta, lecz wstydiowości, którą zawsze musieli odczuwać wobec siebie.

Nie byli skłonni do uniesień i czułości. Maigret mógł sobie świetnie wyobrazić, jak Gus, w młodszym wieku, przychodzi! do biura, siadał

w bezruchu i milcząc patrzył, jak ojciec czyta łub pracuje.

— Zaprowadzę pana w takim razie do mojego pokoju. Przechodząc przez salon, Maigret ujrzał

czekających

na niego Lucas i Torrence. Wyraźnie czuli się skępowani w olbrzymim i bogatym apartamencie.

— Skończyliście, chłopcy?

— Wszystko zrobione, szefie... Czy chce pan zobaczyć plan?...

Dowiedzieć się, kto wychodził i przychodził?...

— Nie teraz... Która to była godzina?...

— Między wpół do dziesiątej a za piętnaście dziesiąta... Prawie na pewno o dziewiątej trzydzieści siedem.

Maigret spojrzał w stronę szeroko otwartych okien.

— Czy dziś rano były otwarte?

— Od ósmej piętnaście...

Nad garażami widać było liczne okna w sześciopiętrowym domu na ulicy du Cirque. Była to tylna część budynku. Jakaś kobieta kręciła się w kuchni z garnkiem w ręku, inna, na trzecim piętrze, zmieniała dziecku pieluszki.

— Teraz obaj pójdziecie coś zjeść. Gdzie Janvier?

— Odnalazł matkę w miasteczku w Berry... Nie ma w domu telefonu i kazał komuś stamtąd przyprowadzić ją do rozmównicy...

Czeka teraz w biurze na połączenie...

— W takim razie niech potem was dogoni... Na ulicy de Miromesnil jest nie najgorsza knajpa... Nazywa się „Pod Kociołkiem”... Następnie pójdziecie do widocznego stąd domu na ulicy du Cirque... Podzielicie się piętrami i przesłuchacie lokatorów, których mieszkania mają okna wychodzące na tę stronę... Mogli zauważyć, jak ktoś przechodził

przez salon między dziewiątą trzydzieści a dziewiątą czterdzieści pięć... Muszą też mieć widok na inne pokoje...

— Gdzie się spotkamy?

— N'a Quai, gdy skończycie robotę... Chyba że dowiecie się czegoś ważnego... Może jeszcze tu będę...

Gus słuchał z zainteresowaniem. Mimo wypadków dzisiejszego dnia zachował dziecięcą trochę ciekawość w stosunku do policji.

— Jestem do pana dyspozycji, Gus...

Szli nieco węższym niż w lewym skrzydle korytarzem, przeszli koło kuchni. Przez oszklone drzwi widać było ubraną na ciemno, grubą kobietę.

— To następne drzwi...

Pokój był duży, lecz panowała w nim inna atmosfera niż w reszcie mieszkania. I tu były stylowe meble, które ustawiono z pewnością dlatego, żeby je jakoś wykorzystać. Gus zmienił jednak ich charakter, zarzucając je najróżniejszymi przedmiotami, planszami, tabliczkami.

W pokoju były cztery głośniki, dwa czy trzy adaptory, na stole z jasnego drzewa stał mikroskop, na innym stole umieszczone były miedziane druty, tworzące skomplikowany obwód. Koło okna stał fotel byle jak przykryty czerwonym sukniem. Takie samo sukno leżało na łóżku, co nadawało mu wygląd tapczanu.

— Zostawił go pan sobie? — spytał Maigret, wskazując na dużego, pluszowego misia, siedzącego na półce.

— Dlaczego miałbym się go wstydzić? Tó ojciec mi podarował na pierwsze urodziny...

Słowo „ojciec” wymawiał z dumą, a nawet z pewnym wyzwaniem.

Widać było, że jest gotów go dziko bronić.

— Lubił pan pannę Vague, Gus?

— Powiedziałem już panu, byliśmy dobrymi kumplami...

Musiało mu schlebiać, że dwudziestopięcioletnia dziewczyna traktuje go po koleżeńsku.

— Często pan przychodził do niej do biura?

— Co najmniej raz dziennie.

— Nigdy pan z nią gdzieś nie chodził?

Chłopak patrzył na niego ze zdziwieniem. Maigret nabijał fajkę.

— Gdzie miałbym chodzić?

— Na przykład do kina albo na zabawę...

— Nie tańczę i nigdy z nią nigdzie nie bywałem...

— Był pan kiedyś u niej w mieszkaniu?



Znowu zrobił się czerwony jak burak.

— Czego pan ode mnie chce?... Co pan sobie myśli?...

— Wie pan, co łączyło Antoinette z ojcem?

— Dlaczego nie? Widzi pan w tym coś złego? — odparował z podniesioną głową, jak kogut.

— Nie o mnie chodzi, lecz o pana...

— Ojciec jest wolny.

— A matka?

— To nie jej sprawa..,

— Co pan właściwie chce powiedzieć?

— Że mężczyzna ma całkowite prawo...

Nie dokończył zdania, lecz początek był zupełnie jasny.

— Czy według pana rućgł to być powód dzisiejszej zbrodni?

— Nie wiem...

— Spodziewał się pan dramatu?

Maigret usiadł w czerwonym fotelu i zapalał powoli fajkę, obserwując tego dorastającego chłopca o zbyt długich rękach i za dużych dłoniach.

— I tak, i nie.

— Proszę to jaśniej wytłumaczyć... Pana profesor w liceum Racjne'a nie uznałby takiej odpowiedzi...

— Myślałem, że jest pan inny...

— Uważa pan, że jestem brutalny?

— Zupełnie jakby pan mnie nie cierpiał, jakby podejrzewał mnie pan nie wiadomo o co...

— O właśnie...

— Chyba jednak nie o to, że zabiłem Antoinette... Po pierwsze byłem w szkole...

— Wiem... Wiem też, że naprawdę pan szanuje ojca...

— To niedobrze?

— Wręcz przeciwnie... Jednocześnie uważa go pan za człowieka bezbronnego...

— Co ma pan na myśli?

— Nic złego, Gus... Pana ojciec, z wyjątkiem chyba spraw zawodowych, jest człowiekiem, który nie będzie walczył... Jest zdania, że wszystko, co na niego spada, dzieje się z jego winy...

— Jest bardzo inteligentny i skrupulatny...

— Antoinette była również w pewien sposób bezbronna... Jednym słowem wy dwoje musieliście czuwać nad ojcem i dlatego powstał

między wami rodzaj spisku...

— Nigdy o niczym takim nie rozmawialiśmy...

— Przypuszczam... Czuliście jednak, że trzymacie tę samą stronę...

Dlatego też zawsze starał się pan utrzymać z nią kontakt, nie mając jej nic specjalnego do powiedzenia...

— Do czego pan zmierza?

Chłopak, bawiąc się miedzianym drutem, po raz pierwszy odwrócił głowę.

— Właśnie do tego. To pan napisał do mnie listy i pan zadzwonił

wczoraj do Policji Kryminalnej...

Mai/jrd mini przed oczami jego plecy. Zapanowała filuta chwila wyczekiwaniu. Wreszcie chłopak odwrócił się; do niego z wyrazem

/mieszania na twarzy.

— Tak, 1 o ja... Doszedł pan jednak w końcu do t<sup>f\*</sup>«»---

Ni«' patrzył już na Muigreta tak nieufnie, jak poprzednio. Przeciwnie, komisarz zdobył z powrotem jego szucunek.

— Jak t<sup><\*</sup> się stało, że zaczął mnie pan podejrzewać?

• - l.isty miały zostać rinpír-an«- tylko przez mordercę Juh przez osobę, która chciała pośrednio ochraniać pańskiego tjjea...

— Tj osobij mogła być Anloim-tte...

Nie chciał mu tłumaczyć, że sekretarka była osobij dorosły i nie chwyciłaby się tak skomplikowanego i zarazem dziecięcego

.sposobu.

— Zawiódł się; pan na mnie, fius?

— Myślałem, że zrobi pan to inaczej...

— Na przykład jak?

— Nie wiem... Czytałem o panu śledztwach... W moich oczach był pan człowiekiem zdolnym wszystko zrozumieć...

— A teraz?

Wzruszył ramionami.

— Już sam nie wiem...

— Chciał pan, żebym kogoś zaarrestował?...

— Nie chciałem, żeby pan kogokolwiek aresztował...

— No więc?.. (U mnie miałem zrobić?...

— Pan jest na czele brygady kryminalnej, nie ju...

Przecież ani wczoraj, ani nawet jeszcze dziś o dziewiątej rano zbrodnia nie była popełniona?

— Oczywiście, nie...

— Przed czym chciał pan ochronić ojca?

Znowu zapanowało milczenie.

— Czuję, że grozi nam niebezpieczeństwo.,.

— Jaki niebezpieczeństwo?

Muigret był przekonany, że rozumie sens jego pytania. Chłopice chciał ochronić ojca. Przed kim? Czy nic przed nim sumy!

— Nie wiem; więc odpowiadał.

— Dlaczego?

— Ho nie,

f doda) zdecydowanym głosem:

— Jeśli pan chce, niech omie pan zabiera na Quai des Orfevres...

Godzinami może mi pan zadawać !■ samo pytania... Pewno uważa mnie pun za dzieciaka, lecz przysięgam panu, nic więcej nic powiem.,,

— i) nic więcej nie pytam... Pora, żeby iść do stołu, Cus...

— Wszystko Jedno, monę s>ę dziś spóźnić do szkoły...

— (.Idzie jest pokój pana siostry?

— Trzecie drzwi stąd, w tym samym korytarzu...

— Ma pan do mnie żal?

— Wykonuje pan swój zawód...

Chłopak zatrzasnął gwałtowniu drzwi. W chwilę potem Medgret zapukał do pokoju ttrnbl, skąd dochodził hałas odkurzacza.

Otworzyła mu młoda dziewczyna w roboczym stroju, o bardzo jasnych i puyzysłych włosach.

— Czy mnie pan s/.ukit?

— Pard nazywa się Uza?

— Tak... Jestem pokojówką... Widziul mniift pan już przedtem w korytarzu...

— Cdzio jest panienka?

— Może w stołowym?... Może u matki ulbo u ojca?... To w drugim skrzydle...

— Wiem... Byłem wczoraj u pani Parendon...

Przez otwarte drzwi zobaczył pokój stołowy, w którym vr

^ ściany od dołu do góry pokryte były boazeriami. Na stole, przy którym mogło usiąść dwadzieścia osób, naszykowane były dwa nakrycia. Niebawem zasiadą tu Gus i Bambi, oddzieleni od siebie wielkim obrusem, obsługiwani przez układnego Ferdynanda w białych rękawiczkach.

Maigret uchylił drzwi, przechodząc obok gabinetu adwokata.

Parendon siedział ciągle w tym samym miejscu. Na składanym stoliku stała butelka wina, kieliszek i leżało parę kanapek. Parendon nie poruszył się. Może nic nie słyszał? Słońce oświetlało jego głowę, która wydawała się łysa.

Komisarz zamknął drzwi, odnalazł korytarz, którym szedł wczoraj, i dotarł do buduaru pani Parendon. Przez drzwi usłyszał obcy głos, gwałtowny i tragiczny.

Nie rozróżniał słów, czuł jednak, że ktoś mówił w silnym podnieceniu.

Zastukał bardzo mocno. Głos zamilkł nagle i za chwilę otworzyły się drzwi. Stała przed nim młoda dziewczyna. Była jeszcze zadyszana, silnie błyszczały jej oczy, z trudem oddychała.

—

Czego pan chce?

Za nią stała pani Parendon w swym niebieskim szlafrocuku.

Odwróciła się w stronę okna, aby komisarz nie mógł ujrzeć jej twarzy.

—

Jestem komisarz Maigret...

—

Nie wątpię... I co z tego?... Nie mamy już prawa porozmawiać we własnym domu?...

Nie była specjalnie ładna, lecz miała miłą twarz i zgrabną figurkę.

Ubrana była w skromny kostium i wbrew modzie związywała wstążką włosy.

—

Chciałbym zamienić z panią kilka słów, zanim pójdzie pani na obiad...

— Czy tutaj?

Zawahał się. Zobaczył, jak zadrżały ramiona matki.

- Niekoniecznie,.. Gdzie pani woli..

Bambi wyszła z pokoju nie oglądając się za siebie, zamknęła drzwi i spytała:

— Gdzie pan chce pójść?

— Może do pani? — zaproponował.

— Liza sprząta mój pokój...

— Może do któregoś biura?

— Wszystko mi jedno...

Jej wrogość nie była specjalnie wymierzona przeciw Maigretowi. Był

to raczej stan psychiczny. Teraz, gdy jej gwałtowna przemowa do matki została przerwana, rozluźniła się i szła za nim zmęczona.

— Nie u... — nie skończyła.

Oczywiście nie u panny Vague. Weszli do kancelarii Tortu i Baud, którzy poszli na obiad.

— Widziała pani ojca?... Niech pani usiądzie...

— Wolałabym stać...

Była zbyt ruchliwa, żeby usiedzieć na krześle.

— Jak pani chce...

Maigret również nie usiadł i oparł się o biurko Tortu.

— Pytałem panią, czy widziała się pani z ojcem.

— Nie, odkąd wróciłam, nie widziałam się z nim...

— O której pani wróciła?

— Kwadrans po dwunastej.

— Kto pani powiedział?

— Dozorca...

Wyglądało na to, że Lamure czatował na Gusa i BamW

i że chciał im pierwszy obwieścić nowinę.

— A potem?

— Co potem?

— • Co pani robiła?

-• Ferdynand chciał ze mną porozmawiać. Nie słuchałam go i poszłam prosto do siebie.

Natknęła się tam pani no Lizę?

Tak, sprzątała łazienkę. Przez ten wypudek wszystko się dziś spóźniło.

— Czy płakała pani?

— Nie.

— Nie przyszło pani do głowy, żeby pójść do ojca?

— Możliwe... Nie pamiętam... W każdym razie nie poszłam do niego...

— Jak długo była pani u siebie?

— Nie patrzyłam na zegarek... Pięć minut, może trochę dłużej...

— I co pani robiła?

Patrzyła na niego z wahaniem. Był to zdaje się, zwyczaj wszystkich w tym domu. Każdy, zanim zaczynał mówić, rozważał w myśli słowa.

— Przeglądałam się w lustrze...

Brzmiało to jak wyzwanie. I to również była cecha pozostałych członków rodziny.

— Dlaczego?

— Chce pan, żebym była szczerą, prawda?... No więc dobrze:...

Chciałam zobaczyć, do kogo jestem podobna...

— Do ojca czy do matki, tak?

— Tak.

— I do jakiego pani doszła wniosku?

Twardo i ze złością wyrzuciła z siebie:

— Do matki.

• • Nienawidzi pani matki, panim L:nnbi,'

-

Wcale nie, chciałabym jtj tylko pomóc, I'róbowułam wiele razy.

— W czym jej pani chce pomóc?

— Naprawdę pan uważa, że może to nas do czegoś doprowadzić?

— O czym pani mówi?

— O pytaniach... O moich odpowiedziach...

— Pomoże mi to zrozumieć...

— Spędza pan kilka godzin w pewnej rodzinie i twierdzi pan, że udaje się panu zrozumieć? Niech pan nie sądzi, że jestem wobec pana wrogo nastawiona. Wiem, że od poniedziałku krąży pan po domu...

— Czy wie pani również, kto wysyłał do mnie listy?

— Tak.

— .Jak pani się o tym dowiedziała?

— Złapałam go, gdy odcinał kartki...

— Czy Gus mówił pani, w jakim celu to robi?

— Nie... Potem, gdy na temat listów zaczął się szum w domu, zrozumiałam...

— Kto pani o tym mówił?

— Nie pamiętam,,. Chyba Julian Baud... Lubię go... Robi wrażenie narwańca, ale to fajny chłopak...

— Intryguje mnie jeden szczegół... Zdaje się, że to pani wybrała dla siebie imię Bambi, a dla brata Gus?

Spojrzała na niego z lekkim uśmiechem.

— Dziwi to pana?

— Na znak protestu?

— Zgadł pan. Na znak protestu przeciwko temu wielkiemu, wykwintnemu domisku, przeciwko stylowi życia, jaki prowadzimy, przeciwko ludziom, którzy do nas przy

chodzą,,. Wolalabym urodzić się w skromnej rodzinie i sarna walczyć o swoje życie...

— Walczy pani na swój sposób...

— Tak, archeologia... Nie chciałam wybrać zawodu, w którym zajęłabym czyjeś miejsce...

— Zwłaszcza matka irytuje panią, prawda?



— Naprawdę wolałabym o niej nie mówić.,,

— Niestety w tej chwili jej osoba właśnie jest ważna. Zgadza sir; pani ze mną?

— Możliwe... Nie wiem...

Obserwowała go ukradkiem.

— Uważa pani, że jest winna? — nalegał Maigret.

— Skąd to panu przychodzi do głowy?

— Gdy poszedłem do buduaru, usłyszałem, Jak przemawiała pani uniesieniem...

— To nie znaczy, że uważam ją za winną... Nic podoba mi się jej sposób zachowania... Nie podoba mi się j\*-j sly' życia i ten, który usiłuje nam narzucić... Nie podoba mi się...

Nie panowała nad sobą tak dobrze jak brat, mimo że pozornie robiła wrażenie spokojniejszej od niego,

— Zarzuca Jej pani, że nie stworzyła ojcu szczęśliwego życia?

— Nie można uczynić ludzi szczęśliwymi wbrew ich woli...

Natomiast unieszczęśliwić ludzi...

— Czy lubiła pani pannę Vague tak jak Juliana Buud? Nie wahała się ani chwili.

— Nie!

— Dlaczego?

— Bo była to mała intrygantka, która zabiegała o to, by ojciec uwierzył, że go kocha...

-- Słyszała paru jakieś miłosne rozmowy?

MO

— Oczywiście, że nie. Nie gruchali w mojej obecności. Wystarczyło ją zobaczyć, gdy była z nim. A co się działo za zamkniętymi drzwiami, nie mam pojęcia.

— Czy to w imię zasad moralnych...

— Co mnie obchodzą zasady moralne!... Zresztą jaki»\* zasady?...

Jakiego środowiska?,,. Czy sądzi pan, że zasady moralne tej dzielnicy są takie same jak w małym prowincjonalnym miasteczku lub w (dwudzieste) dzielnicy?,,.

— Czy pani zdaniem ojciec przez nią cierpiał?

— Być może odizolowała go Jeszcze bardziej...

— To znaczy oddaliła go od reszty rodziny?

— Są to sprawy, nad którymi nie zastanawiałam się. nikt się nie zastanawiał... Powiedzmy, że gdyby jej tutaj nie było, byłyby może większe szanse...

— Czego? Pogodzenia?

— Nie ma tu mowy o Jakimkolwiek pogodzeniu... Mol rodzice nigdy się nie kochali, ja też nie wierzę w miłość... Wierzę jednak, że można żyć razem w spokoju, w pewnej harmonii...

— I do tego właśnie chciała pani doprowadzić?

— Próbowałam uspokoić szaleńcze usposobienie matki, walczyć z jej brakiem logiki...

— Ojciec pani w tym nie pomagał?

Poglądy Barnbi różniły się zasadniczo od poglądów brata, w kilku punktach jednak pokrywały się.

— Ojciec odmówił.

— Z powodu sekretarki?

— Wolę panu nie odpowiadać, nie mówić Już o tym... Niech pan się postawi na moim miejscu... Wracam z Sorbony i dowiaduję się...

— Ma pani rację... Naprawdę, wszystko to robię po to, śc-by było jak najmniej nieprzyjemności... Niech pani sobie wyobrazi śledztwo ciągnące się tygodniami, niepewność, wezwania do policji kryminalnej, a potem do biura sędziego śledczego...

— Tak, nie myślałam o tym... Co zamierza pan zrobić?

— Nie powziąłem jeszcze żadnej decyzji...

— Czy jadł pan obiad?

— Nie. Pani zresztą też nie, na pewno brat czeka na panią w jadalni.

— Ojciec nie będzie jadł razem z nami?

— Woli zostać sam u siebie...

— A pan nie je obiadu?

— Nie jestem na razie głodny, ale przyznam się, że umieram z pragnienia...

— Czego pan chce się napić? Piwa? Wina?

— Wszystko jedno co, ale dużą szklankę...

Mimo woli uśmiechnęła się.

— Niech pan poczeka...

Zrozumiał, dlaczego się uśmiechnęła. Nie wyobrażała sobie, żeby pił

w kuchni lub pokoju kredensowym jak dostawca, ani też żeby usiadł

w jadalni z nią i Gusem, gdy jedli w milczeniu obiad.

Wróciła bez tacy, trzymając w jednym ręku butelkę sześciolatniego Saint-Emilion, a w drugim szklankę z rżniętego kryształu.

— Niech pan nie ma do mnie żalu, że odpowiadałam gwałtownie na pytania i że niewiele się panu przydałam...

— Wszyscy jesteście mi bardzo przydatni... A teraz niech pani szybko i, dzie na obiad, panno Bambi...

Dziwne to było uczucie, znaleźć się samemu z butelką i kieliszkiem w jednym końcu mieszkania, w pokoju Tortu i młodego Szwajcara. Zgodnie z jego życzeniem, przyniosła dużą szklankę do wody, którą napełnił bez skrępowania.

Rzeczywiście chciał mu się pić. Poza tym potrzebował kielicha, gdyż był to jeden z najbardziej męczących dni w jego karierze.

Pewien był, że tymczasem czekała na niego pani Parenndon. Wiedziała, że prócz niej przesłuchał już wszystkich domowników, i beczynnie wyczekiwała, zastanawiając się, kiedy się wreszcie pojawi.

Czy podobnie jak mąż kazała przynieść sobie coś do jedzenia do buduaru?

Komisarz stał koło okna i pił wino małymi łykami, wyglądając bez celu na podwórze. Po raz pierwszy było puste, nie stały na nim samochody i tylko rudy kot przeciągał się w słońcu. Lamure mówił

mu, że oprócz papugi nie było w domu ani jednego zwierzęcia, więc to pewno kot z sąsiedztwa znalazł tu zaciszne miejsce.

Zawahał się przed drugą szklanką, nalał do połowy, przed wypiciem nabił fajkę. Na koniec westchnął i znanymi korytarzami ruszył do buduaru pani Parenndon.

Nie musiał pukać. Mimo pluszu na podłodze, usłyszała jego kroki i drzwi otworzyły się, gdy zbliżył się do pokoju. Pani Parenndon, wciąż w szlafrocisku z niebieskiego jedwabiu, zdążyła przez ten czas umalować się, uczesać i twarz jej wyglądała prawie tak samo, jak poprzedniego dnia.

Trochę bardziej napięta? Czy też zmęczona? Trudno mu było powiedzieć. Czuł różnicę, jakby nastąpiło jakieś pęknięcie, lecz nie mógł jej wyraźnie uchwycić.

— Czekałam na pana...

— Wiem. Jak pani widzi, przyszedłem...

— Dlaczego chciał pan porozmawiać ze mną na końcu?

— Może żeby dać pani czas do namysłu...

— Nie potrzebuję się namyślać... Nad czym?...

— Nad tym, co się-stało... Nad tym, co nieuchronnie musi nastąpić...

— O c.'ym mówi?

— Zbrodnia pociąga sa sobą prędzej ety później areszto~ wanie, śledztwo, procos...

— J;ki To ma związek ze mną?

— Nienawidziła poni Antoinette, prawda?

— Pan również nazywa ją po imieniu?

— A kto jeszcze?

— Na, przykład Gus... Co do męża, nie wiem... Przypuszczam, że nawet w łóżku potrafił mówić ceremonialnie ..panno Vague\*'...

— Chi a nie żyje...

— I co z te^o? Czy tylko dlatego, że ktoś nie żyje, musi być wzorem wszelkich cnot?

— Co pani robiła poprzedniej nocy, gdy wyszła pani siostra po przyjeździe z Orillen?

Zmarszczyła brwi. jakby coś sobie przypomiwała i powiedziała szyderczo:

— Zapomniałam, że obsadził pan dom policjantami... Niech pan sobie wyobrazi, że bolała mnie głowa, wzięłam aspiryny i próbowałam czytać czekając, aż proszek zacznie działać... Proszę, tu jest książka założona na stronie dziesiątej lub dwunastej... Daleko nie dojechałam... Potem położyłam się i bezskutecznie starałam się zasnąć... Zdarza mi się to często i mój lekarz wie o tym...

— Doktor Martin?

— Doktor Martin jest lekarzem męża i dzieci..., Moim ;est doktor Pommeroy. mięsaka na bulwarze Haussmanna... Jesfem zdrowa, dzięki Bogu\*...

Powiedziała te słowa z energią, rzuciła je jak wyzwanie.

— Nie muszę przeprowadzać żadnych badań, kuracji—

Zgadywał dalszy ciąg: ..Nie tak jak mój mąż..."

Nie powiedziała tego jednak, lecz ciągnęła dalej;

— Jedyłą rzeczą, która rai dolega\* jest cezsennesc... Czasami do trzeciej rano nie magę zasnąć... Jest to przykre i wyczerpujące...

— Tak było ubiegłej nocy?

— Tak...

— Była pani niespokojna?

— 2 powodu pana wizyty? — natychmiast odbiła piłeczkę.

— Mogło to być spowodowane anonimowymi listami, atmosferą, która się z tego powodu wytworzyła...

— Nie sypiam już od lat i nie z powodu anonimowych listów...

Zawsze w końcu wstaję i biorę środek nasenny przepisany przez doktora Pommeroy... Może pan obejrzeć sobie pudełko...

— Po co miałbym je oglądać?

— Nie mam pojęcia... Fo pańskich wczorajszych pytaniach wszystkiego mogę się spodziewać... Proszek podziałał dopiero po dobrej poł godzinie, a gdy si^ obudziłam, stwierdziłam ze zdumieniem, ze jesc wpół do dwunastej...

— Sądziłem, że często pani późno wstaje...

— Nie aż tak późno... Zadzwoiłam na Lizę... Przyniosła mi na tacy herbatę i grzanki... Dopiero gdy odsłoniła firanki, spostrzegłam, że ma zaczerwienione oczy-. Spytałam ją, czemu płakała... Szlochając powiedziała mi. że w domu stało się nieszczęście, a ja natychmiast pomyślałam o mężu...

— Czego się pani tłukła?

— Zdaje się panu. że ten człowiek jest silny? Czy wie pan, że w każdej chwili może nva nawalić s\*rce. równie dobrze jak i wszystko inne?

Słowa; ..Jak wszystko inne” Maigr; na rasie pc.uju\*' milczeniem zostawiając je na potem.

fnsirf:

— Powiedziała mi w końcu, że panna Vague została zamordowana i dom jest pełen policji...

— Jaka była pierwsza pani reakcja?

— Byłam tak zdumiona, że zabrałam się do picia herbaty... Potem pobiegłam do męża... Co z nim się stanie?...

Udał, że nie rozumie.

— Z kim?

— No z mężem... Nie wsadzi go pan do więzienia? Z jego zdrowiem...

— Dlaczego miałbym wsadzić pani męża do więzienia?... Po pierwsze, to resort sędziego śledczego, nie mój... Poza tym nie widzę w tej chwili najmniejszego powodu, żeby aresztować pani męża...

— Kogo więc pan podejrzewa?

Nie odpowiedział. Chodził tam i z powrotem po niebieskim dywanie w żółty deseń. Pani Parendon natomiast, jak poprzedniego dnia, usiadła w berzerce.

— Niech mi pani powie — spytał rozdzielając sylaby — dlaczego pani mąż miałby zabić swoją sekretarkę?...

— Czy musi być jakiś powód?...

— Zazwyczaj nie ma zbrodni bez motywu.

— Nie sądzi pan, że niektórzy ludzie mogą sobie stworzyć wymyślony motyw?...

— W tym wypadku jaki?...

— A jeśli na przykład była w ciąży?...

— Ma pani powody do takich przypuszczeń?

— Nie, żadnych...

— Czy pani mąż jest katolikiem?

— Nie...

— Jeśli założymy, że była w ciąży, jest wysoce prawdopodobne, że mąż pani byłby uradowany...

— Skomplikowałyby mu to życie...

— Zapomina pani, że nie żyjemy w czasach, gdy panny 7. dzieckiem były wytykane palcami... Czasy się zmieniają, droga pani... Wiele ludzi nie zawaha się zwrócić do ginekologa o nowoczesnych

poglądach...

— Podałam to tylko jako przykład...

— Niech pani znajdzie inny powód.

— Mogła go szantażować...

— Z jakiego powodu? Czyżby sprawy, które prowadzi pani mąż.

były podejrzane?... Czy dokonał jakichś poważnych uchybień mogących podważyć jego powagę adwokata?...

Zrezygnowana, z wyschniętymi ustami, powiedziała:

— Oczywiście, że nie.

Zapaliła papierosa.

— Wszystkie te panienki dążą do tego, żeby wyjść za mąż...

— Czy mąż mówił z panią o rozwodzie?

— Jak dotąd nie.

— Co zrobiłaby pani w takim wypadku?

— Musiałabym zrezygnować z czuwania nad nim...

— Posiada pani, zdaje się, majątek osobisty?

— Większy niż jego... To jest mój dom, jestem jego właścicielką...

— W takim razie nie widzę żadnego powodu do szantażu...

— Może człowiek ma dosyć w pewnym momencie fałszywej miłości?

— Dlaczego fałszywej?...

— Z powodu wieku, pochodzenia, sposobu życia, wszystkiego...

— Pani miłość jest prawdziwsza?

— Dałam mu dwoje dzieci...

— Chce pani powiedzieć, że wniosła je pani w posagu?...

— Pan mnie obraża!

Znowu patrzyła na niego z wściekłością, gdy Maigret, przeciwnie, był

przesadnie uprzejmy.

— Aież nie mam najmniejszego zamiaru, proszę pani. lecz zazwyczaj dzieci poczynają się z dwojga ludzi... Niech więc pani powie po prostu, że pani i mąż macie dwoje dzieci...

— Do czego pan dąży?

— Aby pani powiedziała mi po prostu i szczerze, co pani robiła dziś rano.

— Powiedziałam już panu.

— Ani po prostu, ani szczerze. Opowiadała mi pani długą historię o bezsenności, aby w ten sposób wymazać cały ranek...

— Spałam...

— Chciałbym być tego pewien... Możliwe, że w krótkim czasie będę wiedział... Moi inspektorzy zanotowali, co robił każdy z domowników między dziewiątą piętnaście a dziesiątą... Wiem, że do biur można dostać się w najróżniejszy sposób...

— Oskarża mnie pan o kłamstwo?

— W każdym razie o niepowiedzenie całej prawdy

— Uważa pan, że mąż jest niewinny?...

— A priori nikogo nie uważam za winnego czy niewinnego...

— A jednak ze sposobu, w jaki pan mnie przesłuchuje...

— O co córka miała do pani pretensję, gdy przyszedłem tu jej szukać?

— Nie powiedziała panu?

— Nie pytałem jej.

Znów spojrzała na niego szyderczo. Skrzywiła gorzko usta, z ironią, która miała być okrutna i pełna pogardy.

— Ma więcej szans niż ja...

— Pytałem, o co miała pretensję...

— Ze nie jestem w takiej chwili przy ojcu, jeśli tak bardzo chce pan wiedzieć.

— Czy uważa, że jest winny?



— A jeśli tak uważa?

— Gus z pewnością również?

— Gus jest jeszcze w wieku, gdy ojciec jest rodzajem Boga, a matka megierą...

— Gdy niedawno pojawiła się pani w biurze męża, wiedziała pani, że tam jestem...

— Nie musi pan być wszędzie i mogłam mieć nadzieję, że mąż będzie sam...

— Zadała mu pani pytanie...

— Całkiem proste i naturalne, jakie każda żona zadałaby na moim miejscu, w podobnych okolicznościach... Widział P. an 3eg<sup>o</sup> reakcję...

Uważa ją pan za normalną?... Czy normalny człowiek zacząłby tupać nogami rzucając przekleństwa?...

Czuła, że trafiła tu w drażniący punkt. Zgniotła jednego papierosa w popielniczce z niebieskiego marmuru i zapaliła następnego.

— Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, to słucham...

— Jadła pani obiad?

— Ależ niech się pan tym nie kłopotczy... Jeśli jest pan głodny...

W ciągu minuty potrafiła zmienić wyraz twarzy i zachowanie. Znów była kobietą światową, spoglądała na niego drwiąco, lekko odchyłona do tyłu z półprzymkniętymi oczami.

## Rozdział VII

Od początku rozmowy z panią Parendon Maigret panował nad sobą. Stopniowo rozdrażnienie ustępowało smutkowi. Poczł się ciężki, niezręczny, rozumiał, jak wiele mu brakowało, aby skutecznie przeprowadzić tego rodzaju przesłuchanie.

W końcu usiadł w jednym ze zbyt kruchych foteli i trzymając w ręku wygasłą fajkę, powiedział spokojnym i głuchym równocześnie głosem:

— Proszę mnie posłuchać. Nie jestem pani wrogiem, choć pani może uważa inaczej. Jestem tylko funkcjonariuszem policji, którego zadaniem jest dojść do prawdy za pomocą środków, jakimi dysponuje.

Zadam pani ponownie pytanie, które postawiłem przed chwilą. Zanim pani odpowie, niech się pani dobrze zastanowi nad wszystkimi za i przeciw. Ostrzegam, że jeśli okaże się w dalszym toku sprawy, że pani skłamała, wyciągnę z tego odpowiednie wnioski i zwrócę się do sędziego śledczego o nakaz aresztowania.

Obserwował ją. Jej wewnętrzne napięcie zdradzały przede wszystkim ręce.

— Czy począwszy od dziewiątej rano wychodziła pani i:Q

t pokoju i czy udała się pani z jakiegokolwiek powodu do tej części, w której znajdują się biura?

Nie odwróciła wzroku, nawet nie mrugnęła. Zgodnie z jego życzeniem nie odpowiedziała od razu, lecz widać było wyraźnie, że się nie zastanawia, że jej postawa jest zdecydowana.

— Nie — powiedziała w końcu.

— Nie była pani na korytarzu?

— Nie.

— Nie przechodziła pani przez salon?

— Nie.

— Nie weszła pani, bez złych zamiarów, do biura panny Vague?

— Nie. Dodam, że uważam te pytania za obraźliwe.

— Moim obowiązkiem jest je pani zadać.

— Zapomina pan, że żyje mój ojciec...

— Czy to groźba?

— Po prostu przypominam panu, że nie jest pan w swoim biurze na Quai des Orfèvres...

— Woli pani, żebym tam panią zaprowadził?

— Niech pan spróbuje...

Nie chciał jej chwytać za słowa. W Meung-sur-Loire chodził czasem na ryby i raz złowił węgorza, którego w żaden sposób nie mógł

odczepić z haczyka. Bez przerwy wyslizgiwał mu się z ręki, wreszcie upadł na nadbrzeżną trawę i uciekł do rzeki.

Nie znajdował się tutaj dla rozrywki, Nie łowił ryb.

— Twierdzi więc pani, że nie zabiła pani panny Vague?

Znów te same słowa, to samo spojrzenie człowieka, który robi rozpaczliwe wysiłki, aby zrozumieć drugą istotę.

— Wie pan dobrze.

— Co?

W końcu zabił ją mój brat...

■ ■ ■ Z jakiego powodu?

— Powiedziałam panu... W jego... - trzeba mieć ego powodu... Fowlern panu co"; co wierny tylko my dwójka, ponieważ mąż zwierzył mi się przed siostrą przed ślubem, a ona odkładała...

Wiedziała wtedy, że chodził o tym do różnych lekarzy. Wie pan, że gdy miał 20 lat, usiłował popełnić samobójstwo z rozpaczy, że nie jest normalny?... Otworzył sobie żyły na przegubie ręki... Ody pokazała „jaki krew, ogarnął go strach i wezwał pomocy udając, że był to wypadek... Wie pan, co oznaczają

W końcu... - mobójcze?...

Maigret żałował, że nie wziął ze sobą butelki wina Tortu i młodym ludziom musieli być zdziwieni znajdując ją po powrocie w biurze i na pewno już wszyscy wypili.

— Miał... - krupę... Bał się, że nasze dzieci nie będą normalne... Z

jakim niepokojem obserwował Hambi, gdy rosła i zaczynała mówić...

Myślała to może prawda. Było na pewno wiele prawdy w tym, co mówiła. Maigret miał jednak przez cały czas wrażenie, że między jej słowami, wypowiedzianymi a rzeczywistością istniała jakaś szczelina.

— Przesiaduje go strach przed chorobą i śmiercią, doktor Martin wie coś na ten temat...

— FJ/M rano widziałem siebie z doktorem Martin. Wydawało mi się, że

markuję ripostę; odzyskując szybko

pe-wność «Jebie,

— mówił panu o tym?

— i/ie... Nie przyszło mu nawet przez chwilę do głowy, że pani mąż może być mordercą...

— Zapomina pan o tajemnicach zawodowych, imię. v., rr, - fcarzu., Maigret rtojmł w JwtaWk., było Jwinł\*

bardzo niewyraźne.

— Rozmawiałem także prz\*z V-iefor. z bratam «\*ż». JfirHt na kongr e^i\* w Nicei

— Czy to miało miojr^ po wypadku?

— Przedtem

— Przejął .«ri»»?

— Nie, radził mi, żeby pilnować pani rr.eM.,,

— Mas i jednak wiedzieć...

Zapaliła nowego papierosa. Pahła jednego po drugim oddychając głęboko.

— Nie «potkał >.i<; pan nigdy z ludźmi, którzy «tracili kontakt z życiem, z rz^czywwtok-ią, którzy zwracają huj ku sobi\* samym, tak jak odwraca rękawiczkę\*. Niech par. spyta naszych znajomych...

Wiech pan ich »pyta, czy mój mąż zdradza jeszcze jakieś zainteresowanie ludźmi... Ponieważ nalegam, zdarza się, że zje obiad w kilkuosobowym towarzystwie, ale ledwo zauważa kogokolwiek, i prawi\*\* się nie odzywa.,. Nie słucha, pozostaje jakby zamknięty w

»obie.,

— To on wybiera znajomych, o których pani rrvVwj?

— Są to ludzie, z którymi mulimy się widywać \*A naiiz\*] sytuacji, ludzie normalni, prowadzący normalne życie..

Nie «pytał, co rozumie przez normalne życie, pozwolił jej kontynuować coraz bardziej pouczający monolog.

— Czy myśli pan. ze zeszłego lata pokazał \$,>: choć raz na plaży albo no basenie?... Siedział w ogrodzie pod drzewem... Jako młoda dziewczyna, gdy nagie przestawał mni« ałuchać, brałam to za roztargnienie, potem okazało się to prawdziwą niemożnością współżycia z innymi... Dlatego

-zumknął się w czterech ścianach swego gabinetu, a gdy zdarzy mu się wyjść, patrzy na nas jak sowa w biały dzień... Zbyt szybko wydał

pan sąd, panie Maigret...

— Mam jeszcze jedno pytonie...

Z góry pewien był odpowiedzi.

— Czy od wczorajszego wieczoru wyjmowała pani rewolwer?

— Po co miałabym wyjmować?

— Oczekuję odpowiedzi, a nie pytania...

— Odpowiedź brzmi: nie.

— Od jak dawna nie ruszała go pani?

— Od miesięcy... Nie pamiętam, kiedy porządkowałam tę szufladę...

— Wczoraj pokazywała mi go pani...

— Ach tak. zapomniałam...

— Ale ponieważ trzymałam go w ręku, moje odciski palców mogły pokryć inne...

— Nic więcej nie przychodzi panu na rzyśl?

Patrzyła na niego, jakby rozczarowana widokiem tak nieudolnego i niezręcznego MaJgreta.

— Rozprawiała pani z upodobaniem o odizolowaniu męża i o jego braku kontaktu z rzeczywistością. Tymczasem wczoraj załatwiał w biurze niesłychanie ważną sprawę z ludźmi, którzy stoją mocno na ziemi...

— Jak pan myśli, dlaczego wybrał prawo morskie?... Nigdy w życiu nie był na statku... Nie ma żadnej styczności z morzem... Wszystko odbywa się na papierze... Przecież wszystko jest abstrakcją, nie rozumie pan?... Jeszcze jeden dowód tego, co panu powtarzam, a czego pan nie chce zobaczyć...

Wstała i zaczęła chodzić po pokoju, jak człowiek, który się nad czymś głęboko zastanawia.

— Nawet len jego konik, słynny artykuł (i4... Czyż nie jest to dowód, że się boi, boi się samego siebie i szuka pewności?... Wie, że pan jest u mnie i że mnie pan przesłuchuje... Wszyscy w tym domu wiedzą, gdzie kto jest w danej chwili,.. Wi« pan, o czym myśli?...

Marzy, żebym się zniecierpliwiła, zdenerwowała, wpadła w złość, żebym ja, zamiast niego, stała się podejrzana... Jeśli pójdę do więzienia, on będzie wolny.../

— Chwileczkę. Nie rozumiem. Cóż za nową wolność osiągnie w ten sposób?

— Będzie całkowicie wolny...

— I co z tym zrobi, teraz, gdy panna Vague nie żyje?

— Są inne panny Vague...

— Twierdzi więc pani, że mąż skorzystałby z pani nieobecności w domu, aby mieć kochanki?

— Dlaczego nie? Jeszcze jeden sposób, żeby się upewnić...

— Zabijając je po kolei?

— Niekoniecznie musi zabić następnego...

— Sądziłem, że jest niezdolny do kontaktów międzyludzkich...

— Z ludźmi normalnymi, z naszego świata...

— Ludzie, którzy nie są z pani świata, nie są normalni?

— Wie pan dobrze, co chciałam powiedzieć... Nie jest rzeczą normalną, że się z nimi zadaje...

— Dlaczego?

Zastukano do drzwi i ukazała się biała kamizelka Ferdynanda.

— Jeden z tych panów chce z panem pomówić, panie komisarzu...

— Gdzie jest?

— Tutaj, w korytarzu... Mówi, że jest to sprawa nieałychanie piJna, i dlatego pozwoliłem sobie go przyprowadzić...

Maigret, w półmroku korytarza, ujrzał sylwetkę Lucasa,

— Przepraszam panią na chwilę.

Zamknął za sobą drzwi. Ferdynand oddalił się. Zona adwokata została sama w pokoju.

— Co się stało, Lucas?

— Dziś rano przeszła dwa razy przez salon.

— Jesteś pewien?

— Stąd nie widać, ale z salonu bardzo dobrze... W jednym z okien na ulicy du Cirque stoi, prawie cały dzień, pewien kaleka...

— Staruszek?

— Nie... Stracił nogi w wypadku.. Koło pięćdziesiątki... Ciekawi go krzątanie w tym domu, pasjonuje się-myciem samochodów, zwłaszcza Rollsa... Sądząc z jego odpowiedzi na dodatkowe pytania, można u/ać jego świadectwu... Nazywa się Montagne... Jego córka jest akuszerką...

— O której widział po raz pierwszy panią Parendon?

— Trochę po wpół do dziesiątej—

— Szła w stronę biur?

— Tak... Zna lepiej niż my rozkład wszystkich pomieszczeń... To stąd wie o romansie Parendona z sekretarką...

— Jak była ubrana?

— W niebieski szlafroczek...

— Kiedy widział ją po raz drugi?

— W niecałe pięć minut później, przechodziła przez salon w przeciwnym kierunku... Uderzył go jeden szczegół... W głębi salonu pokojówka ścierała kurze i nie zauważyła jej...

— Pani Parendon nie zauważyła pokojówki?

— Nie.

— Przesłuchiwałaś Lizę?

— Tak, dziś rano.

— Mówiła ci o tym szczególe?

— Twierdzi, że nic nie widziała...

— Dziękuję ci, chłopcze...

— Co mam robić?

— Obydwasz macie na mnie czekać. Nie ma potwierdzeń tego, co mówił Montagne...

— Służąca z piątego piętra twierdzi, że mignęło jej coś niebieskiego o tej właśnie porze.

Maigret zastukał do drzwi buduaru i wszedł, gdy pani Parendon wychodziła z sypialnego pokoju. Komisarz opróżnił i nabił następnie fajkę.

— Czy zechciałaby pani wezwać swą pokojówkę?

— Potrzebuje pan czegoś?

— Tak.

— Jak pan sobie życzy.

Nacisnęła guzik. Kilka chwil upłynęło w głębokim milczeniu, Maigret, patrząc na tę kobietę, której zadawał takie tortury, miał mimo woli ściśnięte serce.

Powtarzał w myśli słowa artykułu 64, o którym od trzech dni tyle się tu mówiło.

„Nie uważa się za zbrodnię ani przestępstwo, jeśli obwiniony był w stanie niepoczytalności w czasie czynu lub jeśli został zmuszony do czynu przez siłę, której nie mógł się oprzeć.”

Czy człowiek, którego opisała mu pani Parendon, Jej mąż, mógł

działać w danej chwili w stanie niepoczytalności?

Czy ona także czytała dzieła z dziedziny psychiatrii? Czy też...

Weszła zastraszona Liza.

— Pani mnie wzywała?

— Pan komisarz chce z tobą pomówić.

— Niech pani zamknie drzwi... I proszę się nie bać... Dziś rano, gdy odpowiadała pani na pytania moich inspektorów, była pani pod wrażeniem dzisiejszego wydarzenia

i z pewnością nie zdawała pani sobie sprawy, jak ważne były te pytania.

Zalękniona dziewczyna spoglądała kolejno na komisarza i na swą panią, która siedziała w berżerze z nogą na nodze, odchyłona do tyłu, z obojętną miną, jakby ta rozmowa jej nie dotyczyła.

— Jest bardzo możliwe, że będzie pani świadkiem w sądzie, gdzie będzie musiała pani złożyć przysięgę... Otrzyma pani te same pytania... Jeśli okaże się, że pani kłamała, będzie pani podlegać karze więzienia...

— O czym pan mówi?

— Ustalono rozkład zajęć całego personelu między dziewiątą piętnaście a dziesiątą... Trochę po dziewiątej trzydzieści, założmy o dziewiątej trzydzieści pięć, odkurzała pani salon... Czy to się zgadza?...

Znów spojrzała w stronę pani Parendon, która usiłowała nie patrzeć w jej stronę, potem powiedziała słabym głosem:

— To prawda...

— O której weszła pani do salonu?

— Około wpół do dziesiątej... Może trochę później..

— Nie widziała więc pani swej chlebodawczyni idącej w stronę biur?

— Nie...

— Ale w chwilę po przyjściu, gdy była pani w głębi salonu, widziana pani, jak szła w przeciwnym



kierunku, to znaczy do tego pokoju...

— Co mam robić, proszę pani?

— To twoja sprawa, moje dziecko. Odpowiedz na pytanie...

Po policzkach Lizy spływały łzy. Wyjęła zwiniętą w kłębek chusteczkę z kieszeni fartuszka.

— Ktoś panu powiedział? — z naiwnością spytała Margaretta.

— Niech pani odpowie na pytanie, jak pani polecono...

— Czy to będzie obciążać panią?

— Będzie to potwierdzać świadectwo osoby, która mieszka na ulicy du Cirque i widziała was obie przez okno...

— Nie mam więc po co kłamać... To prawda... Przepraszam panią...

Chciała podbiec do swej pani, może rzucić się na kolana, lecz pani Parendon powiedziała sucho:

— Jeśli komisarz nie ma więcej pytań, możesz iść...

Wyszła i w drzwiach wybuchnęła płaczem.

— I czego to dowodzi? — spytała pani Parendon, z papierosem w drżących ustach, z rękami w kieszeniach niebieskiego szlafrocza.

— Że co najmniej raz pani skłamała.

— Jestem u siebie w domu i nie muszę się przed nikim opowiadać z każdego kroku...

— Owszem, w wypadku morderstwa. Ostrzegłem panią zadając pytanie...

— Czy to znaczy, że pan mnie zaaresztuje?

— Poproszę panią o udanie się ze mną na Quai des Orfèvres.

— Czy ma pan nakaz?

—

In blanco. Nakaz aresztowania, gdzie wystarczy wpisać pani nazwisko.

— A potem?

— To nie będzie już zależeć ode mnie.

— A od kogo?

— Od sędziego śledczego... Potem niewątpliwie od lekarzy...

— Uważa pan, że jestem nienormalna?

Zobaczył w jej oczach panikę.

— Niech pan odpowie... Uważa pan, że jestem nienormalna?

— Nie do mnie należy odpowiedź w tej sprawie...

— Nie jestem!... Słyszysz pan?... Nawet jeśli zabiłam, czemu dalej zaprzeczam, to nie w ataku szału...

— Poproszę panią o oddanie mi rewolweru.

— Proszę go sobie wziąć... Jest w górnej szufladzie mojej toaletki...

Wszedł do sypialni utrzymanej w jasnoróżowej tonacji. Te dwa pokoje, niebieski i różowy, przypominały obraz Marii Laurencin.

Wielkie, niskie łóżko w stylu Ludwika XVI nie było jeszcze posłane.

Meble były jasnoszare. Na toalecie zobaczył słoiki kremu, buteleczki, cały asortyment środków, które służą kobietom do walki z wiekiem.

Wzruszył ramionami. Patrząc na tę intymną wystawę popadał w nastrój melancholii. Pomyślał o Gusie i jego' pierwszym liście.

Czy bez jego interwencji wypadki potoczyłyby się w ten sam sposób?

Wyjął rewolwer z szuflady, gdzie znajdowały się także szkatułki z biżuterią.

Nie wiedział, co odpowiedzieć na postawione sobie pytania. Może pani Parendon zabiłaby swego męża zamiast sekretarki?

Może poczekałaby kilka dni dłużej? Może posłużyłaby się inną bronią?

Ze zmarszczonym czołem wrócił do buduaru, gdzie żona adwokata stała przy oknie odwrócona do niego tyłem. Zauważył, że plecy jej zaczynały się garbić. Wydawało mu się, że ramiona jej są węższe i bardziej kościste.

Trzymał w ręku rewolwer.

— Zagram z panią w otwarte karty... — powiedział — nie mogę jeszcze nic z pewnością ustalić, przekonany jestem jednak, że gdy szła pani przez salon po wpół do dziesiątej, ten rewolwer znajdował się w kieszeni pani szlafroka... Zastanawiam się nawet, czy w tamtej okre-

ślonej chwili pani zamiarem nie było zabicie męża... Być może świadectwo kaleki z ulicy du Cirque pozwoli nam to udowodnić... Z

pewnością. podeszła pani pod drzwi jego gabinetu. Usłyszała pani głosy, gdyż mąż rozmawiał z René Tortu... Przyszedł wtedy pani do głowy pomysł, aby w zastępstwie męża zamordować sekretarkę. Czyż zabicie Antoinette Vague, zamiast jego samego, nie było ciosem równie dotkliwym, o ile nie dotkliwszym?... Nie mówiąc już o tym, że z miejsca stawał się podejrzany... Wczoraj, podczas naszej rozmowy, przygotowała pani grunt... Dzisiaj był dalszy ciąg... Pod pretekstem, że szuka pani znaczka, papieru listowego czy czegoś innego, weszła pani do biura sekretarki, która przywitała się z panią z roztargnieniem i wróciła do pracy... Ujrzała pani skrobak do papieru, rewolwer stał

się niepotrzebny, tym bardziej że wystrzał mógł kogoś zaalarmować...

Zapanowało milczenie. Maigret jakby z niechęcią zapalił fajkę, schował pistolet okładany masą perłową do kieszeni i stał w oczekiwaniu. Chwila, która wydawała mu

się wiecznością. Ramiona pani Parendon nie poruszały się. A więc nic płakała. Stała wciąż tyłem. Gdy wreszcie odwróciła się do niego, ujrzał nieruchomą, bladą twarz.

Nikt, kto by ją tak zobaczył, nie domyśliłby się, co wydarzyło się tego dnia na Avenue Marigny, a tym bardziej przed chwilą w niebieskim buduarze.

— Nie jestem szalona — powiedziała z wysiłkiem.

Nic nic odpowiedział. Po co? A zresztą cóż wiedział na ten temat?

## Rozdział VIII

— Proszę się ubrać — powiedział łagodnie. — Może pani przygotować walizeczkę z bielizną na zmianę i rzeczami osobistymi...

Może lepiej będzie, jeśli zawoła pani Lizę?

' — Nie jest pan pewien, czy nie popełnię samobójstwa?... Nie ma obawy, niech pan będzie spokojny, ale może pan nacisnąć guzik po prawej stronie...

Czekał, aż przyjdzie pokojówka.

— Proszę pomóc pani Parendon...

Szedł powoli korytarzem z opuszczoną głową. Pomylił się i poszedł w złą stronę — przez oszklone drzwi kuchni zobaczył Ferdynanda i grubą panią Vauquin. Przed Ferdynandem stała opróżniona prawie do połowy litrowa butelka czerwonego wina, z której lokaj nalał sobie szklanekę. Siedział z łokciami opartymi na stole i z nosem w gazecie.

Maigret wszedł.

Oboje podskoczyli, Ferdynand poderwał się z miejsca.

— Może pan dać mi szklankę wina?

— Przyniosę tamtą butelkę z biura...

— Po co? Czyż to ma znaczenie, co będę pił?

Nie śmiał wyznać, że wolałby zwykłe czerwone wino od starego Saint-Emilion...

Pił pcwoji ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Nie zaprotestował, gdy lokaj ponownie napełnił mu szklanką.

— Gdzie są moi chłopcy?

— Kolo szatni... Nie chcieli czekać w salonie...

Instynktownie pilnowali wyjścia.

— Lucas, wróć na korytarz, gdzie byłeś przed chwilą, stań przed drzwiami buduaru i czekaj na mnie.

Wrócił do Ferdynanda.

— Czy kierowca jest w domu?

— Jest panu potrzebny? Zaraz go zawołam.

— Chciałbym, żeby za kilka minut czekał z samochodem przed wejściem... Czy\_ przed domem są dziennikarze?

— Tak, proszę pana.

— Fotoreporterzy?

— Tak...

Zastukał do gabinetu Parendona. Adwokat siedział przed porozrzucanymi papierami, w których robił adnotacje czerwonym ołówkiem. Ujrawszy Maigreta, patrzył na niego nie mając odwagi ani poruszyć się, ani zapytać. Jego niebieskie oczy za grubymi szklami okularów miały rzadki wyraz pełen łagodności i smutku.

Czy trzeba było coś mówić? Adwokat zrozumiał. Czekając na komisarza, uczepił się swoich papierów, jak szczątków rozbitego okrętu.

— Myślę, że będzie pan miał okazję do głębszych studiów nad artykułem 64...

— Przyznała się?

— Jeszcze nie...

— Myśli pan, że się przyzna?

— Przyjdzie taka chwila, dziś w nocy, za dziesięć dni, za miesiąc, że załamie się, i wołałbym tego nie oglądać...

Parendon wyjął z kieszeni chusteczkę i zaczął wycierać szkła okularów, jak gdyby była to czynność najważniejsza. Wydawało się, że jego źrenice roztapiają się, rozplývają w białku rogówki. Tylko usta wyrażały prawie dziecinne wzruszenie.

— Zabiera ją pan?

Powiedział to ledwo słyszalnym głosem.

— Pojedzie własnym autem, w ten sposób uniknie się komentarzy reporterów i jej odjazd odbędzie się z godnością. Wydam polecenia kierowcy i pojedziemy razem do policji kryminalnej...

Parendon patrzył na niego z wdzięcznością.

— Chce się pan z nią zobaczyć? — spytał Maigret z góry przewidując odpowiedź.

— Co mógłbym jej powiedzieć?

— Wiem. Ma pan rację. Gdzie są dzieci?

— Gus jest w szkole. Nie wiem, czy Bambi jest u siebie w pokoju, czy też ma po południu zajęcia...

Maigret myślał również o tej, która odjeżdżała, i o ludziach, którzy zostawali. Dla nich także, w każdym razie przez pewien czas, życie nie będzie łatwe.

— Czy mówiła o mnie? — spytał nieśmiało, ze strachem niemal adwokat.

— Wiele mi o pahu mówiła...

Komisarz rozumiał teraz, że zdań, które zdawały się oskarżać adwokata, pani Parendon nie znalazła w książkach, lecz w sobie samej. Przeprowadziła pewien rodzaj zamiany przenosząc na niego swoje własne obawy.

Spojrzał na zegar i wytłumaczył się:

— Dałem jej czas do ubrania się i przygotowania walizki... Jest z nią pokojówka...

...jeśli obwiniony był w stanie niepoczytalności w czasie Czynu lub jeśli został zmuszony do czynu przez siłę...

Należało do jego zawodu aresztowanie ludzi, których sąd potem skazywał bądź uniewinniał. Kilku,

zwłaszcza w pierwszych latach jego kariery, zostało skazanych na śmierć, a dwóch z nich poprosiło go, aby był przy nich w ostatniej chwili.

Zaczął studiować medycynę. Żałował wtedy, że okoliczności zmusiły go do rezygnacji ze studiów. Czy nie wybrałby psychiatrii, gdyby mógł je kontynuować?

Wtedy on musiałby rozwiązać problem:

...jeśli obwiniony był w stanie niepoczytalności w czasie czynu lub jeśli został zmuszony...

Teraz chyba mniej żałował przerwanych studiów. Nie on będzie musiał decydować.

Parendon wstał i podszedł do niego niepewnym, niezgrabnym krokiem, wyciągając drobną rękę.

— Ja...

Nie mógł jednak mówić. W milczeniu, patrząc w oczy uścisnęli sobie ręce. Maigret skierował się do drzwi i nie odwracając się zamknął je za sobą.

Zdziwił się widząc Lucasa i Torrence'a przy wyjściu. Inspektor rzucił

spojrzenie w stronę salonu i Maigret zrozumiał, dlaczego opuścili swoje stanowisko w korytarzu.

Stała tam pośrodku wielkiego pokoju pani Parendon, ubrana w jasny kostium, w białym kapeluszu i białych rękawiczkach, a za nią Liza z walizką.

— Idźcie do samochodu i czekajcie na mnie...

Grał rolę mistrza ceremonii i wiedział, że tego momentu swego życia będzie nienawidził.

Podszedł do pani Parendon, skłonił się lekko. Powiedziała naturalnym i spokojnym głosem:

— Jestem gotowa.

Liza odprowadziła ich do windy. Szofer rzucił się, by otworzyć drzwi, i zdziwił się, że Maigret nie wsiada razem do samochodu.

Włożył do bagażnika walizkę.

— Proszę jechać z panią Parendon prosto na Quai des Orfèvres, wjechać w bramę i zatrzymać się po lewej stronie podwórza...

— Tak jest, panie komisarzu...

Samochód wy dostał się poza szpaler nic nie rozumiejących dziennikarzy i fotoreporterów. Gdy wsiadał do małego czarnego auta policji kryminalnej z Lucasem i Torrence'em, rzucili się na Maigreta z pytaniami.

— Czy wyda pan nakaz aresztowania, panie komisarzu?

— Nie wiem...

— Czy znalazł pan winnego?

— Nie wiem, chłopcy...

Był szczery. Kolejno przypominały mu się słowa artykułu 64, przerażające w swym braku precyzji.

Słońce ciągle świeciło i zieleniły się kasztany. Rozpoznawał tych samych ludzi, którzy krążyli wokół pałacu Prezydenta Republiki.

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)